

sigma

2 — 52 —
1973/74

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA

ARCHIWUM UCZELNI

Sygn. 90/6/11

Miejsce złożenia



TRADYCJE

i

WSPÓŁCZESNOŚĆ

matematyki wrocławskiej

W październiku br. odbyła się w redakcji „Sigmy” dyskusja na temat aktualnego stanu wrocławskiej matematyki i jej perspektyw. W rozmowie udział wzięli: doc. dr JERZY CZERWONKO — Politechnika Wrocławska, prof. dr STANISŁAW GŁADYSZ — Politechnika Wrocławska, prof. dr JÓZEF ŁUKASZEWICZ — Uniwersytet Wrocławski, doc. dr WŁADYSŁAW NARKIEWICZ — Uniwersytet Wrocławski, prof. dr STANISŁAW TRYBUŁA — Politechnika Wrocławska, prof. dr KAZIMIERZ URBANIK — Uniwersytet Wrocławski. Ze strony redakcji w dyskusji uczestniczyli JANUSZ M. PAWLIKOWSKI i redaktor naczelny JERZY GIRULSKI, który dyskusję prowadził.

Poniżej zamieszczamy obszernie fragmenty rozmowy.

J. GIRULSKI: Jest mi bardzo miło, że mogę powitać Panów w redakcji na spotkaniu poświęconym dyskusji spraw wrocławskiego środowiska matematycznego. Hasło wywoławcze naszej rozmowy możemy skrótkowo określić pytanem — „czy istnieje wrocławska szkoła matematyczna”?

Chciałbym jednak, by pod tym hasłem kryła się treść dotycząca najważniejszych spraw tego środowiska — a więc integracja wysiłków badawczych, rola takich ośrodków jak Uniwersytet, PAN, Politechnika, AR czy PTM, polityka w kształceniu młodej kadry w skali środowiska, zagadnienia naboru przyszłych adeptów matematyki na studia, czy też problem badań interdyscyplinarnych, mających duże tradycje we Wrocławiu.

Pragnę zaznaczyć, że słyszy się często opinie, iż w rzeczywistości szkoła wrocławska należy do przeszłości, że nastąpiła dezintegracja środowiska, że zagięło, tak dawniej ściśle powiązanie matematyki z innymi dyscyplinami, że wreszcie poczynania poszczególnych zespołów odbywają się na zasadzie „każdy sobie rzepkę skrobie”.

Jednocześnie odnosi się wrażenie, że sami matematycy są za „mało agresywni” w propagowaniu wśród młodzieży tej pięknej dyscypliny naukowej. Inaczej mówiąc, że za mało jest wysiłków robionych, np. z wykorzystaniem telewizji, by zachęcić do matematyki najzdolniejszych, pokazując im perspektywy zawodowe i intelektualne, stwarzane poprzez studia matematyczne, tak by najbardziej utalentowani szli na matematykę a nie tylko na studia techniczne.

Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego,

że w tych opiniach może być wiele przesady, że mogą one być ekstremalne, ale dlatego wydaje się być koniecznym autorytatywne przedstawienie, chociaż w zarysie, aktualnego stanu wrocławskiej matematyki i jej perspektyw.

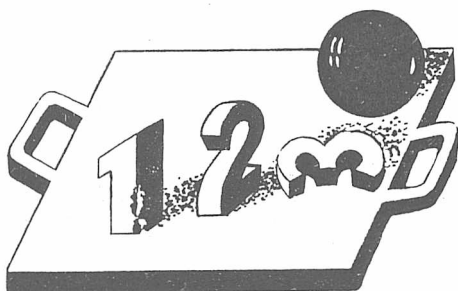
S. GŁADYSZ: Bardzo dziękujemy za tę inicjatywę, podjętą troszkę ku naszemu zaskoczeniu. Domyślam się, że wynika ona z doceniania roli matematyki w nowym modelu Uczelni. Tak jak obserwuję wrocławskie środowisko matematyczne, to w Politechnice ma ono spore uznanie. Bo na przykład jeśli się dyskutuje o sprawach autorstwa, to tutaj w dużym stopniu jako pozytywny wzorzec przedstawia się stosunki, które panują w matematyce. Wydaje się, że dyskutowanie o tym czy szkoła jest czy nie, należy raczej do Uniwersytetu czy Akademii Nauk i my w tej sprawie zabierać głosu nie możemy. Natomiast na temat integracji środowiska — to możemy się podzielić pewnymi naszymi wrażeniami. W moim odczuciu ta integracja jest — przypomnę wspólnie prowadzone wtorki, przypomnę udział wielu kolegów z Uniwersytetu i PAN-u w kształceniu u nas młodej kadry — np. prof. Nardzewski uczestniczy w prowadzeniu studium doktoranckiego. Są to oczywiście problemy ważne i trudne w środowisku, które wcześniej czy później trzeba będzie rozwiązywać, ale ja nie wiem czy potrafimy to zrobić w toku doraźnie zwołanej narady. To są zbyt poważne rzeczy, rzutujące na całą atmosferę środowiska. Dla mnie osobiście ta dyskusja, którą tutaj prowadzimy jest trochę niewygodna. Wolałbym ją prowadzić powiedzmy za dwa, trzy lata — ze względów, które panowie doskonale rozumiecie.

J. ŁUKASZEWICZ: Mnie się wydaje, że to jest dość częste i w wielu sprawach się przejawia taki pogląd, że tak jak przed wojną było, jak było dawniej (np. za Franciszka Józefa) to już nie będzie. Niewątpliwie jest to psychologicznie uzasadnione, że pewne rzeczy ze swojej młodości wspominamy ze łzą w oku. Tak samo pewne aspekty tego bardzo pionierskiego okresu powojennego we Wrocławiu, kiedy siedzieliśmy wszyscy na kupie w seminarium matematycznym w Politechnice, były bardzo przy-

jemne i długo się je będzie wspominać, ale wyciągnięcie wniosków, że zmieniło się na gorsze byłoby błędne. Po prostu działają pewne prawa rozwoju, sformułowane najdrastyczniej może przez Parkinsona — jakaś choroba wzrostu, ale nie w sensie pejoratywnym.

K. URBANIK: Ja z tym co powiedzieli przedmówcy zgadzam się w pełni. Ale na razie wróć do wprowadzenia, w którym sformułowanych było wiele różnych zagadnień. Opinie, które krążą — z tymi opiniami można już dzisiaj polemizować. Natomiast z pewnymi, powiedziałbym nowymi formami, które mogłyby cementować środowisko — to należałoby jeszcze poczekać. One mogłyby być urzeczywistniane w niedalekiej przyszłości. Wróćmy jednak do zagadnienia szkoły. Otóż na pewno nie jest dobrze gdy ci ludzie, którzy składają się na szkołę mówią o niej, formułują tezy, bo to jest trochę zatracające megalomanią. Natomiast jeżeli w świecie, szczególnie za granicą, mówi się o szkole, o zespole, o metodach, o problematyce — to ma dopiero wartość, prawdziwą wartość.

Druga rzecz — co się składa na pojęcie szkoły? Na pojęcie szkoły składają się metody jakimi pracuje się, przede wszystkim metody badawcze, prowadzenie badań, wciąganie młodych, kształcenie młodych. Problematyka badawcza nie może być zlepkim różnych problematyk niczym nie powiązanych. Nie mówię, że to musi być jedna i ta sama problematyka, ale musi tu być jakaś myśl przewodnia. To są na pewno konieczne rzeczy i teraz przypatrzmy się, czy środowisko matematyczne Wrocławia, ma te cechy, które charakteryzują szkołę. Otóż twierdzą, że w tej chwili cechy te przysługują w daleko większym stopniu niż przed laty, co jest nie tylko moim poglądem ale poglądem wielu uczonych zagranicznych. Wydaje się, że w metodzie kształcenia młodych, jak to się mówi, nie chowanie problematyki pod sukno biurka jest cechą charakterystyczną matematyki polskiej — to było wypracowane w latach 20-tych — szkoła warszawska, lwowska. To zostało tu przeniesione przez twórców naszego środowiska i jest kontynuowane. Jeden z kolegów pięknie powiedział, że każdy z nas spłaca dług swoim nau-



czytelom w ten sposób, że spełnia zadania wobec uczniów, które daleko wykraczają poza normalne obowiązki opiekuna naukowego. To jest pewien hołd złożony dziełu nauczyciela i mam nadzieję, że ci uczniowie będą to dalej rozwijać, będą kontynuować tę myśl. Co do tego nie ma wątpliwości, to jest i w Politechnice, i w Uniwersytecie, i w Akademii, i w tych innych ośrodkach miejskich, które dopiero zaczynają pączkować. Gdy się przebywa za granicą, nawet w bardzo dobrych centrach, tam się dopiero widzi owe dobre skutki takiego stylu pracy. Druga rzecz — na jakiej podstawie mówiono przed powiedzmy laty dwudziestu o wrocławskiej szkole matematycznej? Jaka była problematyka naukowa, która decydowała o tym pojęciu szkoły? Różne były przecież dyscypliny uprawiane np. funkcje analityczne, ale nikt ze względu na powiedzmy bardzo ciekawe i głębokie prace Wolibnera — nie nazywał zespołu wrocławskiego — szkołą matematyczną. Było to związane z problematyką probabilistyczną, teorią prawdopodobieństwa i jej zastosowaniami. I to zyskało uznanie w świecie. Na początku lat pięćdziesiątych Kołmogorow na zjeździe w Budapeszcie użył terminu „wrocławska szkoła matematyczna” i to było, w ustach tak wielkiego uczonego, nie tylko komplementem ale faktem uznania wartości rzeczywistych. Zastanówmy się — sprawy probabilistyki i dyscyplin, które wokół tego wyrastają — czy podupadły, czy nie? Z całym przekonaniem mogę stwierdzić, że np. w swojej aplikacyjnej części to, co było robione w latach 50-tych, 60-tych — było raczkowaniem, koniecznym raczkowaniem w rozwoju każdego z nas. To co dzisiaj w zakresie zastosowań probabilistycznych robi się we Wrocławiu, jest to bez porównania głębsze, powiedziałbym bardziej cenione w nauce i w praktyce niż było przed laty.

Na pewno pewne kierunki badań wyginęły we Wrocławiu, wykończyły się, a to jest naturalne zjawisko. W nauce pewne kierunki idą na peryferie, do zaufków, niektóre umierają śmiercią naturalną, niektóre w jakimś utajonym stanie czekają może na jakieś tam — kiedyś w przyszłości — odkrycie, reodkrycie. Lecz w to miejsce powstają nowe dziedziny, których przedtem nie było i to jest rozwój, bo kontynuowanie starych rzeczy, czasem prowadzących na manowce, nie byłoby dobrym objawem. To, że jakieś kierunki wymierają jest czasem koniecznością, czasem zaś jest wynikiem nieudolności kierowników.

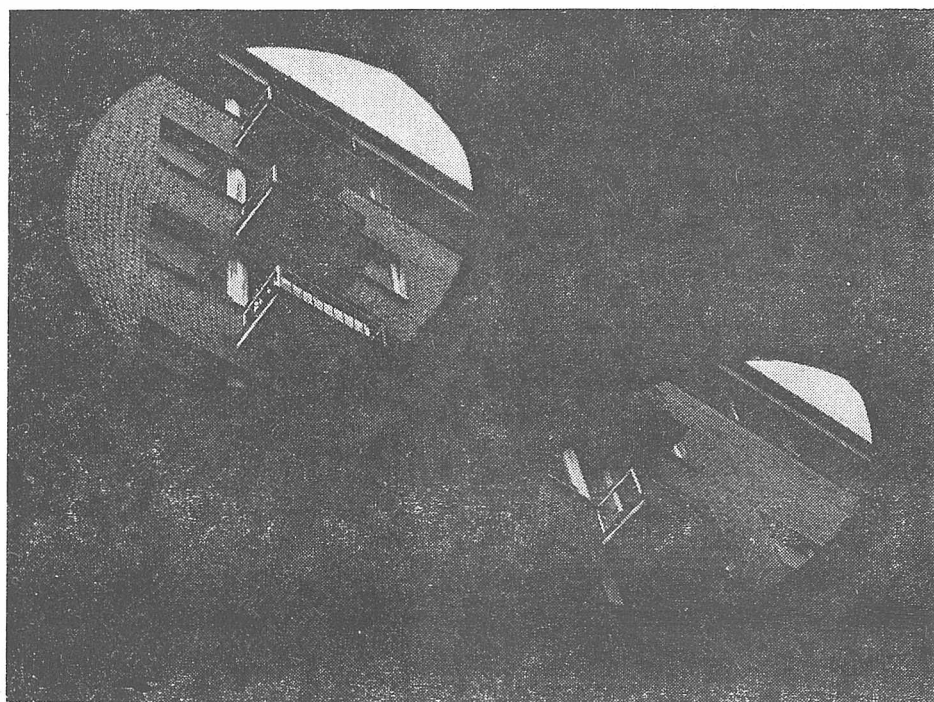
(...) Teraz wrócę jeszcze do tego, że się mówi, iż była a teraz nie ma tej szkoły. Mnie się wydaje, że okres powojenny, kiedy ludzie byli spragnieni jakichś bezpośrednich kontaktów i tych ludzi było mało (ale i zajęć było mniej), sprzyjał wytworzeniu dodatkowego jeszcze aspektu pojęcia szkoły.

J. CZERWONKO: Przepraszam, że się wtrącam: sprzyjał może wytworzeniu przekonania o istnieniu Szkoły, pewnej fikcji.

J. GIRULSKI: A czy jakieś formy instytucjonalne zastąpiły w tej chwili te spontaniczne kontakty?

K. URBANIK: Dzisiaj tą rolę roboczą, powiedziałbym bardziej zaawansowaną przyjęły seminaria.

(...) Oprócz tego przeglądy publikacji, czy też wspólnie organizowane „imprezy”. Ruszy za kilka dni — jest to kurs zastosowań matematyki — pierwsza im-



Fot. J. SAMOTUS

preza we Wrocławiu dla nie-matematyków — gdzie już jest ponad setka zgłoszeń, gdzie jak to się powiada ramię w ramię, łeb w łeb zajęcia prowadzą pracownicy Uniwersytetu, Akademii, Politechniki i WSE. Dalszą sprawą — rzecz tę poruszyłem na Kolegium Rektorów — to sprawa studiów doktoranckich. Uważamy, że mogą istnieć wspólne studia doktoranckie, chociaż poszczególne uczelnie mają własnych doktorantów, tylko że seminaria są wspólne dla wszystkich. Czy np. wykłady, na które mogliby chodzić nie tylko doktoranci. Bo jak się ma wykład, i ma go słuchać 7 osób, to może też wysłuchać 37. Za darmo, bo szkoda — jak już gość gada za katedrą to niech go słuchają.

J. GIRULSKI: A czy by nie była korzystna np. taka rzecz jak czasowa wymiana wykładowców między uczelniami?

K. URBANIK: Całego człowieka trudno wymienić ale kawałek jego — tzn. jakieś wykłady — można. Ja uważam, że to nawet w skali ogólnopolskiej byłoby dobre, tylko trudne do wykonania. Natomiast we Wrocławiu jest to w jakimś mierze do zrealizowania.

S. GLADYSZ: Jeśli chodzi o powiązania: wykłady — sprawy kadrowe, to nie wiem czy panowie się orientujecie, ale chyba kilkunastu pracowników Uniwersytetu prowadzi u nas zajęcia. A jeśli mowa o poważniejszych zajęciach — naliczylibym tutaj piątkę czy szóstkę nieraz znanych nazwisk, które prowadzą u nas zajęcia.

Pójście dalej wymagałoby chyba jakiś zupełnie innych rozwiązań, prowadzenia może jednolitych wykładów?

K. URBANIK: To znaczy, że można pomyśleć o jakichś zaawansowanych wykładach typu monograficznego, które można by, uznawać.

S. GLADYSZ: Druga sprawa to studium doktoranckie. Ja bym proponował, żeby ze sprawami integracji naszego środowiska poczekać — ze 2-3 lata. Był przecież okres kiedy w Politechnice Wrocławskiej, taki np. numeryczny ośrodek był dość silny — chyba w ska-

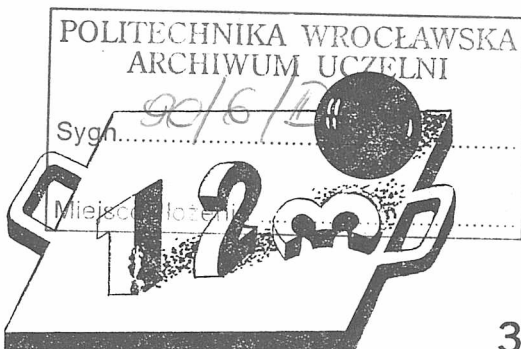
li krajowej. Co z tego zostało? Ani jeden człowiek.

S. TRYBUŁA: Po prostu Uniwersytet jest silniejszy, dużo silniejszy, szczególnie jeśli chodzi o teorię. I my się tak troszeczkę obawiamy, że jest atrakcyjniejszy dla rosnącej kadry.

J. GIRULSKI: Ale z tego wynika, że właściwie w tej sytuacji konieczne jest prowadzenie jednolitej, środowiskowej polityki kadrowej, a nie uczelnianej — bo to jest chyba jedyne wyjście w tej sytuacji.

S. GLADYSZ: To jest odrębna sprawa. Ja chcę powrócić jeszcze do tych tendencji odśrodkowych. Otóż Politechnikę naszą bardzo często przyrównuje się do Uniwersytetu i w tym kontekście stwarza to zupełnie fałszywy obraz. Jeśli się chce mówić o Politechnice, to w porównaniu do innych instytucji tego typu — politechnik w Polsce. Wtedy chyba obraz wypadnie troszkę inaczej, bardziej optymistycznie.

K. URBANIK: To naprawdę nie jest jedynie moje zdanie, ale zespołu ludzi bardzo krytycznych, którzy porównują sytuację matematyki na Politechnice w chwili obecnej i powiedzmy lat temu dziesięć. To jest kolosalny skok, nie tylko ilościowy, bo to jest mało przekonywujące, ale jakościowy. To jest poważny ośrodek naukowy, a to, że należy porównywać do innych politechnik, jest jak najbardziej słuszne — bo pokazuje dystans, jaki przebyła Politechnika Wrocławska.



J. GIRULSKI: Chciałbym poruszyć jeszcze jeden problem, który już zasygnalizowałem, a który jeszcze nie został podjęty. Mianowicie chodzi mi o nabór młodych adeptów na kształcenie matematyczne. Czy uważacie panowie, że naprawdę wystarczający jest – powiedzmy tak – wysiłek środowiska matematycznego – nad przemyślaną popularyzacją matematyki, taki żeby ludzie najzdolniejsi szli jednak na matematykę, a mniej uciekali na kierunki techniczne.

J. ŁUKASZEWICZ: Chciałem to powiedzieć już wcześniej, ale wyleciało mi to z głowy. Mam wrażenie, że tutaj też trzeba zachować jakiś umiar, bo gdybyśmy rozpoczęli wielką agitację w szkołach średnich – wstępujcie na matematykę, takie wspaniałe perspektywy – czy byłibyśmy całkowicie uczciwi wobec ludzi, których może dość łatwo byłoby przekonać. Proszę sobie zdać sprawę z tego, że na studiach matematycznych jest ogromny odpad. No niewątpliwie dlatego, że może przychodzą niezupełnie przygotowani ludzie (może nie ci, co powinni przychodzić), ale także dlatego, że matematyka jest jednak trudna. A później ci ludzie, którzy odpadają zwracają się do rozmaitych czasopism z pretensjami, że zmarnowano im rok życia. że coś nie było tak. Dalej – jeżeli ktoś nawet już nie odpadł na pierwszym roku, zostanie magistrem matematyki, czy nadal – jeżeli nie będzie wybitnym matematykiem, i nie dosiądzie tego swojego konika matematycznego – czy nie będzie miał pretensji, że jest tylko magistrem matematyki? Czy znajdzie zadowolenie na całe życie z podjętej decyzji? Sprawy są niewątpliwie trudne, koniunktura jest różna, bo w tej chwili mamy rzeczywiście ogromne możliwości zatrudniania absolwentów, ale znane są (dalsze i bliższe) przykłady zagraniczne, gdzie z tą koniunkturą bywa różnie, gdzie bardzo szybko osiągnięto jakiś stan nasycenia mimo prognoz hurra optymistycznych, gdzie pewne administracyjne decyzje kierowania studentów, kształtowania specjalności, bardzo szybko korygowano.

J. GIRULSKI: Nie chodzi mi tutaj o to, żeby robić propagandę na zasadzie tej, żeby „masówka” szła na matematykę. Mnie chodzi o to, żeby wyjść z taką akcją do młodzieży, żeby ci, którzy mają wrodzone predyspozycje matematyczne, poznali perspektywę, jaką im dają studia matematyczne.

J. ŁUKASZEWICZ: Nas by to też cieszyło, gdyby najlepsi przyszli do nas, ale to tak nie jest. Na ogół najlepsi ludzie, to są najlepsi i to zarówno do matematyki jak i do innych rzeczy. Jest takie zjawisko, które ja uważam za pewną cechę dodatnią, fakt pozytywny. W ciągu ostatnich dni niemal codziennie przychodzi ktoś do mnie, ja-

kiś student – politechniki, który przychodzi z podaniem do zaopiniowania, bo on się chce przenieść na matematykę, albo chce równolegle studiować matematykę z jakimś przedmiotem. Chyba nie potrafimy uniknąć takich zmian decyzji – ja też najprzód chciałem studiować na Politechnice, później tylko dlatego, że prof. Idaszewski mnie nie przyjął na Wydział Elektryczny, zostałem na matematyce. Teraz niewątpliwie tego nie żałuję (może byłbym bardzo złym inżynierem), ale to było trudne i nie tak łatwo byłoby przekonać się przed tym, przed podjęciem tej decyzji, że tu jest moje miejsce. A więc bardzo trudno to robić w sposób całkowicie odpowiedzialny, skuteczny i jakiś taki uczciwy – sprawy są chyba rzeczywiście niełatwe i niewątpliwie dużo ważniejszym argumentem za wyborem tej czy innej specjalności byłoby to, by ci młodzi ludzie mogli obserwować w społeczeństwie nie tylko werbalne i słowne uznanie dla takiej czy innej dyscypliny, ale idącą w ślad za tym pozycję społeczną specjalistów w tej dziedzinie, a z tym jeszcze nie jest najlepiej. My nie możemy obiecywać bez pokrycia rzeczy, których jeszcze nie ma, a które są od nas w bardzo małym stopniu zależne. Sami zresztą cierpimy na odpływ bardzo dobrych matematyków czy to do innych środowisk, czy nawet innych, pozamatematycznych instytucji dlatego, że ci ludzie nie znaleźli u nas, w naszej branży odpowiednich warunków, wprost koniecznych do ich życia. Sytuacja matematyków nie jest wcale do pozazdroszczenia i jest to zapewne antypropagandą dla wyboru tej specjalności – co trzeba sobie dość mocno powiedzieć.

J. CZERWONKO: Jeśli chodzi w ogóle o wykładanie matematyki, fizyki w znacznie mniejszym stopniu, to wygląda na to, że po prostu bardzo wcześniej następuje odrzucenie od matematyki. Czasami występuje to już w wieku 8-9-10-ciu lat i to jest sprawa, której naprawdę nie można szybko rozwiązać. Tu chodzi o nauczycieli tej dyscypliny z prawdziwego zdarzenia, a często tak się zdarza, że ludzie którzy kończą matematykę lub fizykę, czasami być może nie powinni jej w ogóle kończyć.

J. GIRULSKI: A są tacy, którzy powinni ją kończyć a nie kończą z kolei.

K. URBANIK: Ja nie byłbym takim szowinistą, że wszyscy którzy mają tzw. uzdolnienia matematyczne powinni iść na matematykę. Powinni także iść na inne kierunki i to nie tylko techniczne, ale takie jak: ekonomiczne, rolnicze, humanistyczne. Po prostu – ten sposób myślenia, ta metoda rozumowania powinna przenikać do innych dziedzin. Natomiast pan wspominał tu właściwie na zasadniczą trudność. Nam odcina się źródło dopływu kandydatów już na tak niskim etapie, że my nie mamy możliwości ingerowania. Szczególnie widać to w środowiskach wiejskich.

J. ŁUKASZEWICZ: Tak, ale to odrzucenie dzieje się za sprawą możliwości zatrudnienia i warunków. Mnie się wydaje – a uważa się to często za sprawę drażliwą, nie mówi się o tym – że są to sprawy niesłychanie ważne.

K. URBANIK: W ogłoszeniach o konkursie na docenta jest taka formułka, że: Uniwersytet nie zapewnia mieszkania. A drugi warunek, że musi gość we Wrocławiu mieszkać. Także nie może dojeżdżać, bo znowu jest zarzą-

dzenie, że nie można pokrywać kosztów dojazdów pracownika do pracy.

J. GIRULSKI: No tak, ale z tego wynikałoby jednak, że jeśli by się chciało mieć dopływ tych, na których nam zależy żeby na tą matematykę trafiali, to niezależnie od tego, że tutaj powinno działać Kuratorium, trzeba więcej o tych sprawach – podniesienia prestiżu tego zawodu i warunków pracy tych ludzi – mówić, pokazując jednocześnie to, co matematyka może dać w sensie chociażby satysfakcji osobistej.

K. URBANIK: Częściowo wytworzyła się dobra atmosfera wokół matematyki. To nie ma jeszcze pokrycia w pewnych efektach materialnych, ale atmosfera jest lepsza niż była lat temu 20 czy powiedzmy w okresie międzywojennym, gdzie szczytem kariery to był prawnik, adwokat z własną praktyką, lekarz z własną praktyką, ginekolog szczególnie.

S. GŁADYSZ: Zapomnieliśmy, mówiąc o popularyzacji matematyki, o jednej rzeczy – o olimpiadach matematycznych.

K. URBANIK: To nie wszędzie dociera, to zależy od nauczyciela. Tam dociera, gdzie jest dobry nauczyciel, on stoi na drodze, jest przekąźnikiem. Jeżeli jest kiepskim nauczycielem to przez niego już nie przejdzie. Przykłady szkół wrocławskich świadczą o tym.

J. GIRULSKI: Panowie, dlaczego o popularyzacji poprzez telewizję mówię cały czas z uporem maniaka – bo to między innymi koresponduje z tym, co pan profesor tutaj mówił, że chodzi o podniesienie prestiżu zawodu matematyka. Otóż mnie się wydaje, że pokazanie perspektywy matematyki, tego co ona zawodowo może dać na styku różnych dyscyplin, to jest między innymi oddziaływanie na społeczeństwo. To jest przyspieszenie rewizji pojęć jeśli chodzi o pozycję matematyka. To nie jest tylko sprawa dotarcia do młodzieży.

K. URBANIK: Tak, to może pomóc w wytworzeniu atmosfery w starszych kręgach społeczeństwa. Tylko tu znowu, gdy będzie się mówić ogólnie – to mało trafia, jak się przejdzie do szczegółów – powiedzmy tych materialnych – to będzie to antypropaganda.

J. CZERWONKO: Znowu powstaje kwestia – to o czym mówiłem – odrzucenia od matematyki i to odrzucenia dokonującego się na różnych poziomach, lecz jest to też kwestia odrzucenia od matematyki nauczycieli matematyki. Każdy nauczyciel np. języka polskiego czy historii może wyobrazić sobie, że jest Napoleonem. Natomiast w warunkach twórczości naukowej z zakresu dyscyplin ścisłych, to przy ostro wyznaczonych kryteriach, jeżeli już ktoś wyobraża sobie, że jest Napoleonem – to dzieje się to czasami na poziomie materialnym.

J. GIRULSKI: Jeśli nie ma więcej uwag na te tematy chciałbym bardzo podziękować panom za wzięcie udziału w tej dyskusji. Mam nadzieję, że obraz matematyki wrocławskiej, który – jak powtarzam z premedytacją – był i jest w dużej mierze skrzywiony wśród wielu ludzi, chyba będzie mógł uzyskać właściwy wymiar. Mam także nadzieję, że rozmowa ta będzie dobrą okazją wyjścia do następnych dyskusji na tematy innych dyscyplin naukowych we Wrocławiu.



— Czyżby było to rozczarowanie, że człowiek nie zrobił wszystkiego, co mógł zrobić w innych dziedzinach?

— Może i tak, chociaż wydaje mi się, że to co zrobiło się w zakresie organizacyjnym nie można oceniać negatywnie. Na stanowisku rektora, nie mówiąc już o stanowiskach pośrednich — znalazłem się przypadkowo. Mogę twierdzić, że uwikłano mnie w to stanowisko. Miałem bowiem inne plany życiowe, które wiązałem z pracą na rzecz Polskiej Akademii Nauk, lecz w momencie kiedy zaproponowano mi stanowisko rektora — chociaż byłem zaskoczony — nie mogłem odmówić.

Byłem wówczas dziekanem Wydziału Łączności, kadencja moja kończyła się w 1961 roku i z jej upływem miałem przejść na stanowisko dyrektora tworzącego się Instytutu, obecnie Instytutu Cybernetyki Stosowanej PAN. Tymczasem w roku 1960 powołano mnie na stanowisko rektora i tym samym plany moje spełzły na rektoracie.

— No tak, ale okoliczności te wskazują, że Pan Profesor podporządkował swoje interesy potrzebom Uczelni, a tym samym potrzebom społecznym!

— Niewątpliwie tak, pewną rolę odegrało moje zdyscyplinowanie społeczne.

— A czy w tej chwili — z perspektywy lat — żałuje Pan Profesor swojej decyzji preferowania celów społecznych nad osobiste zainteresowania?

— Nie, oczywiście nie żałuję, bo ostatecznie coś dobrego dla Politechniki zrobiło się, ale to nie zrobiłem sam jeden, a tylko cały zespół ludzi, z którymi mogłem pracować.

— No — i którym dobrze się z panem Profesorem pracowało!

— Na ogół ludzie, którzy ze mną pracowali są zadowoleni z mej współpracy. Wydaje mi się dlatego, że mam zasadę: nie przeszkadzać ludziom w ich pracy, a jak trzeba to odpowiednio ich ukierunkować, doradzić. Prawdopodobnie ta zasada miała znaczenie dla wyników, którymi jako rektor mogę się poszczycić. Z tych wyników warto wspomnieć opracowanie wieloletniego planu rozbudowy Politechniki, który to plan rozruszał ludzi, zmusił ich do myślenia, narzucił nam wiele pomysłów, wiele idei, a jedną z nich jest idea instytutowej organizacji Politechniki Wrocławskiej. W rezultacie tych myśli i prac idea instytutowej organizacji Politechniki została całkowicie zrealizowana, chociaż moim zdaniem została ona zrealizowana za szybko.

— Była to sprawa zależna nie tylko od Uczelni, ale uwarunkowana także wieloma innymi sprawami?

— Ministerstwu podobała się ta idea i Ministerstwo chciało i wprowadziło ją na terenie całego kraju.

— Z tym, że myśmy byli „poligonem doświadczalnym”?

— Nie, myśmy byli pierwszymi realizatorami tej idei, lecz nasze doświadczenia nie są przez wiele innych uczelni w całości powtarzane. Sądzę, że wynikało to z tej przyczyny, że inne uczelnie zagadnienie to potraktowały jako „dopust boży” jako coś, co trzeba wykonać, bo tak kazano. Wniosek swój opieram na tym, że inne uczelnie idei tej nie rozwijają, podczas gdy u nas doszliśmy właściwie do przetworzenia Uczelni jako „federacji instytutów”. W innych uczelniach pozostały nadal jak kiedyś: katedry. Tylko pod inną nazwą.

— Tak, jest szkoła i są duże katedry — bez żadnych wynikających z tego konsekwencji.

— Inne sprawy, które zaliczam do osiągnięć — to sprawa wydziału Górniczego. Sprawa ta wymagała licznych zabiegów, zaangażowania wielkiej liczby osób, udało się ją przeprowadzić i obecnie wydział ten jest bardzo wysoko ceniony w gospodarce narodowej.

— Wiadomo, że w ostatnich latach kadencji Pana Profesora w Uczelni dokonano się wiele gwałtownych przemian. Wspomniał Pan Profesor, że jest to zasługa nie tylko Pana jako Rektora, ale zasługa zespołu ludzi, którzy przy tym współdziałali. O ile się orientuję, istotny wkład do tej pracy wniosła organizacja partyjna. Jak Pan Profesor z perspektywy lat — ocenia współpracę kierownictwa państwowego i politycznego Uczelni?

— Będąc zawsze zwolennikiem zasadniczych rozwiązań w Uczelni — znalazłem odzew u młodszych pracowników, zgrupowanych w Komitecie Uczelnianym. Miałem „wspólny język” mimo powstawania niekiedy kontrowersji co do drobnych zresztą spraw. Komitet Uczelniany, grupujący ludzi młodszych okazał się konsekwentny w sprawach zasadniczych.

— To było pokolenie ZMP-owskie?

— Tak. Widziałem ich ogromne zaangażowanie w pracę na rzecz Politechniki, i to że ich dążenia nacechowane są przede wszystkim myślą o interesie Uczelni.

— Pan Profesor wspominał, że żałuje trochę swoich niezrealizowanych osobistych zainteresowań, że podporządkował Pan swoje postępowanie nadrzędnym racjom społecznym. Nasuwa się w związku z tym pytanie: czy Pan Profesor mógłby, biorąc pod uwagę Jego doświadczenia — sformułować właściwą receptę postępowania dla młodszych generacji? Czy byłoby słuszne, aby młoda generacja uznała, że jej rozwój naukowy ma być podstawowym stymulatorem ich działania i by w imię tego celu ograniczali swoje zaangażowanie

w sprawach społecznych, w sprawach Uczelni?

— Przede wszystkim muszę stwierdzić, że działałem w Politechnice w szczególnym jej okresie, w okresie, w którym musieliśmy wszystko organizować od podstaw i to wciągało tak dalece, że mniej mogłem zaangażować się w pracę naukową. Czas i warunki zmieniły się, zakończył się okres organizacyjny.

— Tak, ale i dzisiaj jest ciągle dużo pracy i dużo spraw do załatwienia. Powstaje wówczas jakiś problem moralny, — czy można młodych ludzi namawiać kosztem zahamowania ich kariery zawodowej — do działalności ogólniejszej, społecznej?

— Jeśli człowiek chce kończyć pracę naukową — to bym go przy niej zostawił.

— A kto w takim razie ma podejmować problemy, które wymagają zaangażowania wielu sił ludzkich, kto ma to zrobić, jeśli pozwolimy tym młodym nie angażować się?

— Przed młodymi jest jeszcze wiele lat życia i pracy. Jeżeli młody pracownik naukowy nie wykaże się pracą naukową — to ponosi później duże konsekwencje.

— Oczywiście, chodzi o to, aby młody człowiek starał się optymalnie godzić swój interes osobisty z interesami ogólnospołecznymi społeczności szkolnej.

— Tak, lecz jest to założenie idealne.

— A jeśli czasami interes osobisty koliduje z interesem społecznym — to według bogatych doświadczeń Pana Profesora — które racje mają przeważać?

— Oczywiście interes społeczny. Gdybym powiedział, że interes osobisty — moglibyście postawić zarzut, że jestem egoista.

— I wtedy Pan Profesor nie byłby w zgodzie ze swoim życiorysem!

— Słusznie, ale nie uważam, że mój życiorys był wzorcowy.



Spojrzenie

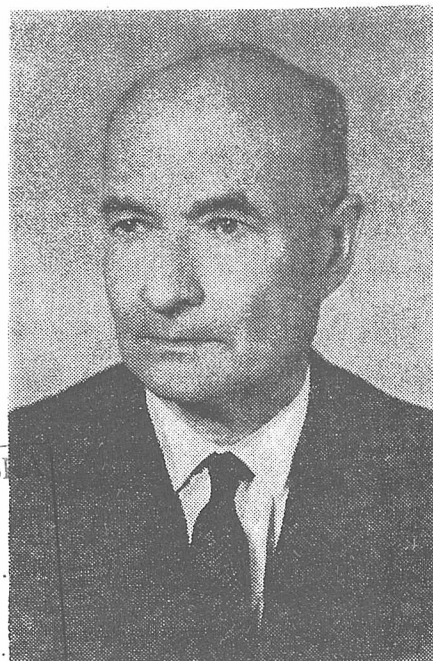
w lata minione

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

90/6 / II

Sygn.....

Miejsce złożenia



Nazwisko profesora Szparkowskiego urosło do rangi sybolu. Jego działalność głęboko zaważyła na sprawach naszej Uczelni. Pełnił kolejno szereg odpowiedzialnych funkcji: był prodziekanem Wydziału Elektrycznego, pierwszym dziekanem Wydziału Łączności, potem prorektorem, wreszcie rektorem i dyrektorem Instytutu Cybernetyki Technicznej i kierownikiem Zakładu Urządzeń Automatyki. Jest twórcą wrocławskiej szkoły automatyki, autorem wielu cenionych publikacji i dwóch książek, z których jedna „Zarys teorii regulacji układów liniowych” była pierwszym w kraju podręcznikiem ujmującym całokształt tego zagadnienia. Jest wreszcie profesor Szparkowski wychowawcą wielu pokoleń elektroników. Jego pierwsi uczniowie są dziś profesorami, docentami, pełnią wiele odpowiedzialnych funkcji w Politechnice i w przemyśle.

— *Panie Profesorze, wiadomo że w pierwszych latach po wyzwoleniu zajmował się Pan sprawą organizacji łączności na Dolnym Śląsku. Sądzę, że zanim przystąpimy do refleksji na temat okresu, w którym rozpoczął Pan swą działalność w Uczelni, warto powiedzieć parę słów na temat tamtych pionierskich czasów.*

— Ten okres od mojego przybycia na Dolny Śląsk do Trzebnicy dnia 26 kwietnia 1944 do 1 października tego roku tj. do rozpoczęcia pracy w Politechnice — był bardzo krótkim w porównaniu do czasu, który spędziłem w Politechnice Wrocławskiej. W Trzebnicy mieliśmy oczywiście dużo trudności przy organizacji służby telekomunikacyjnej na Dolnym Śląsku, lecz trwało to zaledwie 5–6 miesięcy. Więc wspomnień wyniosłem z pracy w Politechnice.

Kiedy dowiedziałem się, że decyzją rządu powołano Politechnikę do życia — zgłosiłem się do znanego mi wówczas ze słyszenia profesora Idaszewskiego, który był wtedy jednym z seniorów Uczelni — oferując swoje usługi przy pracach organizacyjnych. Prof. Idaszewski przyjął mnie bardzo życzliwie wypytując na jakie stanowisko liczę, lecz zaznaczył z góry, że profesury dać mi nie może.

Odpowiedziałem, że cenię sobie stanowisko profesora tak wysoko, że nie wyobrażam sobie, abym mógł do niego pretendować i wtedy prof. Idaszewski zaproponował mi objęcie stanowiska adiunkta. Oczywiście zgodziłem się bez żadnych zastrzeżeń. Skierował mnie On do prof. Smoleńskiego, który był jak gdyby nieoficjalnym komisarzem Politechniki, a znalazłem Go w gruzach na terenie Uczelni. Z prof. Smoleńskim porozumieliśmy się bardzo szybko —

był to wrzesień 1944 roku. Warunki były bardzo trudne i trzeba było wziąć się do zwyczajnej pracy od podstaw — uruchomienia telefonicznej centrali automatycznej. Pierwszą robotę w Politechnice wykonałem. Już wtedy pracował tu profesor Jellonek, z którym się skontaktowałem i przystąpiłem do organizowania Katedry Teletechniki, przy pomocy obecnych profesorów — Bromirskiego, Batyckiego i innych kolegów. Rozpoczęliśmy pracę na poddaszu budynku elektrotechniki w Gmachu Głównym. Powoli, powoli to się rozkręcało. Prowadziłem zajęcia dydaktyczne z teletechniki dla stosunkowo niewielkiej grupy studentów, ale moja działalność organizacyjna przewijała się w zasadzie w ciągu całej mojej pracy w Politechnice.

Od pracy przy tworzeniu katedry Teletechniki przechodziłem bowiem stopniowo przez różne stanowiska organizacyjne: prodziekana na wydziale Elektromechanicznym, organizatora wydziału Łączności, prorektora do spraw dydaktyki, znowu dziekana wydziału Łączności, a następnie rektora Politechniki...

— *...którą to godność Pan piastował przez trzy kadencje?*

— Tak, przez 9 lat. Następnie po reorganizacji Politechniki zostałem dyrektorem Instytutu Cybernetyki Technicznej i w ten sposób dobrałem do 1 października 1973 roku, kiedy przeszedłem na emeryturę.

— *Jakie wydarzenia utkwiły w pamięci Pana Profesora w okresie kierowania Uczelnią tj. w okresie staran, aby wyrastała ona na Uczelnię coraz bardziej nowoczesną i coraz lepszą?*

— Przede wszystkim to nie były zwykłe losy pracownika nauki. Byłem zaw-

sze w wyjątkowej sytuacji. Dziedzina pracownika nauki jest przede wszystkim praca naukowa, dydaktyczna, wychowawcza, a tylko do pewnego stopnia towarzyszy jej praca organizacyjna. Moje obowiązki organizacyjne tak bardzo mocno mnie absorbowaly, że na właściwą pracę naukową pozostawalo mi niewiele czasu.

Mógłbym o sobie samokrytycznie powiedzieć, że „rozmieniałem się na drobne”.

— *Na „drobne”, jeżeli chodzi o osobiste zainteresowania Pana Profesora, ale przecież nie na „drobne” dla interesów Uczelni!*

— Tak, chodzi mi o moje osobiste zainteresowania. Miałem niewielkie możliwości pracy naukowej, aczkolwiek napisałem 2 książki, które jeszcze dzisiaj cieszą się uznaniem i oceniane są dość wysoko, lecz praca organizacyjna tak mnie absorbowala, że od pracy naukowej musiałem trochę odejść, nad czym oczywiście boleję.

— *A czy Pan Profesor nie uważa tego za prawidłowość, gdy chodzi o tych ludzi, którzy zaangażowani są mocno w zarządzanie i kierowanie Uczelnią i jej rozlicznymi agendami?*

— Może jest to słuszne, ale wydaje mi się, że nie stać mnie było na taką wewnętrzną dyscyplinę, jak widzę u innych kolegów, którzy potrafia łączyć pracę naukową z innymi pracami, obowiązkowymi pracownika naukowego. Być może zbyt angażowałem się w określonym kierunku, poświęcając naukowe zainteresowania. Może nie potrafiłem tych dwu spraw prowadzić równolegle, a może dlatego, że działalność organizacyjna dawała mi satysfakcję, ale w ostatecznym rachunku oceniam to jako stratę osobistą.

— Wracając jednak do tego, co Pan Profesor mówił wcześniej o swoich planach, czy nie lepiej być szanowanym profesorem we Wrocławiu, o którym wszyscy wychowankowie i współpracownicy mówią, że angażował się przy pracy społecznej kosztem własnych osobistych zainteresowań niż dyrektorem w Warszawie?

— To jest inna sprawa. Ja żałuję z pewnego punktu widzenia. Generalnie rzecz ujmując nie żałuję swego życia, bo człowiek pozostawił po sobie pewne ślady.

— Panie Profesorze, a teraz inna sprawa. Rozmawialiśmy z Pana wychowankami, z uczniami, którzy w super-

latywach wyrażali się o Panu Profesorze jako wychowawcy i opiekunie. Jaką receptę w tym wypadku Pan Profesor stosował? Wiemy już o jednej zasadzie Pana Profesora: nie przeszkadzać ludziom w pracy!

— Istotnie to pierwsza zasada. Po drugie: trzeba patrzeć na człowieka jakim on jest, bo czasami może mieć pewne wady. Najważniejszą wtedy rzeczą jest: pomóc i dać szansę. Nie można na nikogo patrzeć z góry jak na łobuza, bo trzeba wierzyć, że jest to w zasadzie przyzwoity człowiek, który mógł się raz zapomnieć, załamać, ale było to przypadkowe. Zawsze dawałem ludziom szansę, — powtarzałem: zły jesteś masz

szansę — popraw się!

— Wyznaje Pan Profesor zasadę, że człowiek jest dobry, a może mieć chwilę słabości.

— Tak i te chwile słabości trzeba brać w rachubę.

— Czy przy takim założeniu i uwzględnianiu właściwości charakterologicznych ludzi — nie zawiódł się Pan Profesor?

— Oczywiście czasami się zawodziłem ale ogólnie rzecz biorąc — wygrałem.

— Bardzo dziękuję Panie Profesorze za miłą i interesującą rozmowę.

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
Rozmawiał: JERZY GRUŁSKI
ARCHIWUM UCZELNI
20/6/11
Sygn.
Miejsce złożenia

Prof. Z. Szparkowski w oczach swoich wychowanków

Mimo legendy, jaka otacza Jego nazwisko profesor Szparkowski uniknął losu postaci pomnikowych, które przez swą wielkość stają się dalekie i obce. O Profesorze każdy mówi po prostu z wielką miłością. To była pierwsza sprawa, jaka rzuciła mi się w oczy, kiedy na podstawie wypowiedzi Jego wychowanków, usiłowałam odtworzyć Legendę Profesora Szparkowskiego.

Wypada zacząć od chronologicznie pierwszego okresu Jego działalności w Politechnice, kiedy to w ramach istniejącego Wydziału Elektrycznego zaczęła się wyodrębniać grupa nazwana „słabo-prądowa”. Ona to stała się zalążkiem oddziału telekomunikacji, w skład którego weszły dwie katedry — radiotechniki — prowadzona przez profesora Jeltonka i teletechniki — organizowana przez profesora Szparkowskiego. Profesor Szparkowski kierując się intuicją, która zawsze cechowała Go jako badacza i naukowca zainteresował się problematyką, która wówczas organizacyjnie wiązała się z zalążkiem przyszłej katedry telemechaniki i automatyki. Rzecz była zupełnie nieznaną w skali krajowej, wymagała zorganizowania laboratoriów, zgromadzenia sprzętu. Profesor zaczął znosić na Uczelnię ciekawe okazy automatyki wygrzebane z wraków niemieckich samolotów. Do dziś są one przechowywane pieczołowicie w szafach przez Jego asystentów stanowiąc ciekawy dokument tamtej epoki. W roku 1948 rozpoczęła się batalia o utworzenie przy Politechnice Wydziału Łączności. Ministerstwo długo wahało się z wydaniem odpowiedniego dekretu. Profesor na własną odpowiedzialność zajął się tą sprawą. Przez pół roku prowadził wydział „na wariackich papierach” i... przekonał ministerstwo o celowości jego istnienia. Dekret został wydany. Zaczął się okres skupiania przy nowo powstałym wydziale, kadry naukowej. Profesor kierował wtedy pracą swoich młodych asystentów. To, co podziwiali u Niego najbardziej to umiejętność, która pozwalała Mu dopasowywać realia czasu bieżącego, do swoich wizji. Potrafił stwarzać atmosferę zaufania, która nawet wtedy, gdy nie całkiem rozumieli Jego intencje pozwalała im wierzyć, że to co robią jest słuszne i na pewno doprowadzi do pozytywnych wyników. A sprawą najcenniejszą było to, że Profesor nie narzucał a stawiał pro-

blem. Zawsze w każdej dziedzinie swojej działalności, czy był dziekanem, rektorem, czy dyrektorem Instytutu liczył się ze zdaniem innych. Wszystkie sprawy załatwiał przy pomocy kompromisów na drodze rzeczowych dyskusji. Ta cecha charakteru profesora Szparkowskiego — kompromisowość objawiła się w wielu trudnych dla Uczelni momentach i doprowadziła do złagodzenia niejednej rozognionej sytuacji.

Profesor miał też niezwykle dar opowiadania anegdotek, które rozładowywały napięcie dyskusji. Do legendy przeszło jedno z wystąpień Profesora na forum Instytutu, kiedy rozważano sprawę ocen pracowników. Najwyższą była ocena „wybitnie aktywny”. Nie bardzo wiedziano, jakie przyjąć kryteria ocen, komu należy się najwyższe wyróżnienie i dyskusja zaczynała się robić trochę burzliwa. Wtedy właśnie Profesor opowiedział swoją przygodę, jaka zdarzyła Mu się krótko po wojnie w czasie jednej z licznie przez Niego odbywanych podróży do Warszawy. Na stacji w Kolszkach stwierdził, że brakuje Mu papierosów, a ponieważ jest namiętnym palaczem, wysiadł z pociągu z nadzieją że uzupełni na dworcu swoje wyczerpane zapasy. Nie zdążył jednak dobiec do kiosku, bo został zatrzymany przez funkcjonariusza, który zażądał od Profesora okazania dokumentów. Po wylegitymowaniu i stwierdzeniu, że nie ma do czynienia z osobą, która w jakiś sposób zagrażałaby bezpieczeństwu publicznemu, pozwolił Mu odejść. Na zapytanie zaintrygowanego Profesora, dlaczego został właściwie zatrzymany — odpowiedział: *A bo widziacie obywatelu, obywatel jest taki wybitnie aktywny.*

I tak profesor Szparkowski rozładował atmosferę. Podobnych wypadków było znacznie więcej. Ulubione powiedzonko Profesora, krążą przekazywane z ust do ust po całym Instytucie. Wszyscy np. wiedzą, że nie lubi On pośpiechu, nerwowej atmosfery, załatwiania spraw „na wczoraj”. *Pośpiech jest wskazany wyłącznie przy łapaniu pcheł* — mawia w takich sytuacjach.

Systematyczność, skrupulatność, umiejętność podejścia do każdego zagadnienia zyskała profesorowi Szparkowskiemu opinię idealnego szefa. Rozległa działalność administracyjna, jaką prowadził w Uczelni, wymagała od Niego znajomości każdej pracy, zrozumienia spraw ludzi, z którymi się stykał. Okazywał wszystkim dużo serca,

zainteresowania, zrozumienia pewnych, często zupełnie prywatnych spraw, osiągnięć i kłopotów. We wszystkich swoich działaniach starał się być jak najbardziej ludzki. Na pomoc Profesora można było liczyć w każdej sytuacji. Pracownicy naukowci darzą Go niemal miłością, bo wiedzą że każda ich sprawę życiową potraktuje w sposób ojcowski. Rozciąga się to również na pracowników obsługi, administracji, ludzi którzy zajmują różne miejsca w hierarchii społecznej. Profesor ma przyjaciół wszędzie. Jego wychowankowie ze wzruszeniem wspominają pewne imienny Profesora, spędzone u Niego w mieszkaniu. Jeden z toastów został przerwany przez dzwonek. W drzwiach ukazał się mały, niepozorny człowieczek z olbrzymią torbą listonosza. I On przyszedł złożyć życzenia swojemu Panu Profesorowi. Znajomość sięgała bardzo odległych czasów kiedy profesor Szparkowski pełnił funkcję dyrektora poczty. Mimo znacznego upływu lat ciągle pozostaje w sercach ludzi, którzy darzyli Go szacunkiem, miłością, uwielbieniem.

Na osobne omówienie zasługuje stosunek profesora Szparkowskiego do studentów. Zawsze traktował On młodzież jako partnerów do rozwiązywania spraw związanych z życiem Uczelni i życiem społecznym. Dzięki Jego ojcowskiemu, bardzo przyjacielskiemu stosunkowi do młodych ludzi, wpływał zawsze w sposób łagodzący na ich zapędy, na wiele spornych spraw.

Profesor Szparkowski za swoją pracę zawodową, naukową, społeczną otrzymał szereg wysokich odznaczeń państwowych, resortowych, stowarzyszeniowych. Odznaczony został Sztandarem Pracy I Klasy, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Honorową Odznaką Zasłużonego Nauczyciela PRL, Honorową Odznaką Zasłużonego Pracownika Łączności, Medalem X-Lecia, Medalem za Wybitne Zasługi dla rozwoju Politechniki Wrocławskiej, Złotą Odznaką NOT i SEP, Odznaką Zasłużonego dla Dolnego Śląska i Wrocławia, Złotą Odznaką ZNP, ZMS, ZSP, jest laureatem Nagrody Miasta Wrocławia i Nagrody Ministra I Stopnia. I jest jeszcze jeden medal, który nie mieści się w kategoriach tych odznaczeń. Ten medal, to uczucie jakie zaskarbił sobie u tych, którzy z Profesorem stykali się w czasie Jego długiej, pięknej i owocnej działalności.

Hydrometalurgia jest jednym z sześciu „Wielkich Programów” realizowanych w Politechnice Wrocławskiej. Aczkolwiek etymologia słowa nie przedstawia żadnych trudności dla zrozumienia jego formalnego sensu, to sprawa ta nie jest wcale prosta. Wynika to przede wszystkim z faktu, że istotne zrozumienie znaczenia i treści pojęcia „hydrometalurgia” wymaga zmiany klasycznego sposobu myślenia, a nawet — całkowicie innego podejścia do zagadnień współczesnej metalurgii.

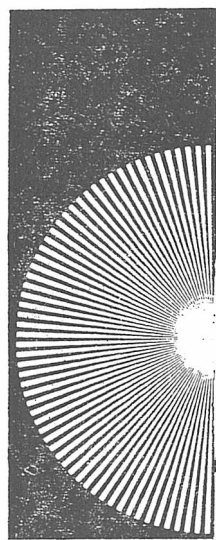
POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn.

90/6 II

Miejsce złożenia

Adam Bartecki



jak mieć MIEDŹ

Czym jest więc hydrometalurgia? W przeciwieństwie do dobrze znanego — i to od dawna — procesu pyrometalurgicznego, hydrometalurgia polega na otrzymywaniu metali na drodze „mokrej” tzn. przy zastosowaniu różnych czynników ługujących. Nie tylko każdy chemik ale każdy kto pracował w laboratorium chemicznym dobrze wie, że jedną z najpopularniejszych metod laboratoryjnych jest rozpuszczanie czy roztworzenie substancji w wodnych roztworach różnych odczynników (ługujących) — w zależności od celu i dalszego przeznaczenia tych roztworów.

Jeżeli więc ten właśnie proces ługowania ma być zastosowany do rozpuszczania metalicznych (metalonośnych) surowców mineralnych, to oczywiście kolejnymi etapami przeróbki będą procesy, pozwalające na wydzielenie i rozdzielenie poszczególnych metali. Tymi operacjami, są przede wszystkim elektroliza lub redukcja (np. wodorem, tlenkiem węgla) w warunkach normalnych lub pod zwiększonym ciśnieniem a także (pośrednio) ekstrakcja i wymiana jonowa. Te wszystkie fizyko-chemiczne procesy stanowią o najważniejszej zalecie hydrometalurgii — a mianowicie o jej selektywności, która zdecydowanie odróżnia ją od metody pyrometalurgicznej.

Selektywność jest czynnikiem niesłychanie ważnym w tych przypadkach, gdy chodzi nie tylko o wydobycie głównego metalu np. miedzi z rud wzgl. koncentratów, ale także o uzyskanie cennych metali towarzyszących np. kobaltu, niklu, wanadu, molibdenu, srebra i in.

Metody hydrometalurgiczne mogą być w zasadzie zastosowane w dwóch wariantach. W pierwszym ługowaniu poddaje się rudy, w drugim koncentraty (otrzymane poprzednio przez flotację), szlamy lub różnego rodzaju odpady (np. odpady poflotacyjne, pyły). Ten pierwszy wariant zrywa z tradycją klasycznej metody pracy opartej na procesie pyrometalurgicznym, natomiast ten drugi z konieczności stosowany jest do przeróbki surowców wtórnych.

Nie ulega wątpliwości, że przynajmniej z dwóch powodów proces hydrometalurgiczny jest procesem nowoczesnym i przyszłościowym. Pierwszy — to konieczność w skali światowej przeróbki coraz uboższych surowców mineralnych, wobec stopniowego wyczerpywania się dawniej odkrytych bogatych złóż. Drugi, wynika z ważnego i jakże aktualnego zagadnienia ochrony środowiska. Te dwa czynniki określają nie tylko przydatność hydrometalurgii ale i jej konkurencyjność w stosunku do pyrometalurgii. Oczywiście, należy sobie zdawać sprawę z faktu, że wprowadzenie nowej metody na skalę przemysłową nie może przebiegać łatwo, nie mówiąc już o konieczności nowych nakładów inwestycyjnych.

Mając powyższe na uwadze, można zaryzykować tezę, że taktyka stopniowego wprowadzania metod hydrometalurgicznych w metalurgii miedzi powinna na pierwszym ważnym etapie uwzględniać przeróbkę koncentratów, szlamów oraz ew. odpadów poflotacyjnych. Etap ten należy uznać za niezwykle istotny przede wszystkim ze względów psychologicznych. Jeżeli bowiem również ekonomika procesu — co jest warunkiem koniecznym okaże się pozytywna, to dopiero dobre opanowanie wszystkich technologicznych tajemnic może stanowić ostateczny argument przemawiający za celowością a nawet koniecznością szerokiego (choć prawdopodobnie niewyłączonego) wprowadzenia metod hydrometalurgicznych, przynajmniej w zakresie metalurgii miedzi.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że surowce miedzionośne naszego Zagłębia Legnicko-Głogowskiego stwarzają nowe perspektywy nie tylko dla wykorzystania miedzi, głównego pierwiastka, ale także dla otrzymania innych cennych metali, o których poprzednio była już mowa. Kobalt, wanad, molibden i inne — są nazywane metalami przyszłości, ponieważ coraz częściej będą znajdować zastosowanie w różnorodnych dziedzinach techniki, np. dla modyfikowania własności stali.

Znaczenie badań nad hydrometalurgią zostało w Politechnice Wrocławskiej wcześniej docenione. Rozpoczęcie tych badań — w ogólnym aspekcie

współpracy z LGOM — datuje się na początek lat sześćdziesiątych. Prace badawcze prowadzone w ówczesnych Katedrach Chemii Nieorganicznej I i II wyraźnie predysponowały te placówki do rozwinięcia powyższej tematyki. Tak więc w r. 1962 powołany został Zakład Hydrometalurgii (pod kierownictwem nieżyjącego dziś doc. Niemca). Zakład ten stał się następnie placówką Instytutu Chemii Nieorganicznej i Metalurgii Pierwiastków Rzadkich pod kierownictwem autora tego artykułu.

Chciałbym z kolei przedstawić najważniejsze problemy organizacyjno-formalne i merytoryczne przedsięwzięte w Instytucie dla realizacji Programu Hydrometalurgia. W Instytucie oprócz wspomnianego już Zakładu Hydrometalurgii i Chemii Pierwiastków Rzadkich działają dwa Zespoły Hydrometalurgii, I i II, mające na celu praktyczne zastosowanie ew. wdrożenie na skalę techniczną różnych technologii odzysku miedzi i innych metali z koncentratów, szlamów i odpadów. Ich kierownikami są dr Łętowski i dr Charewicz. Dr Skudlarski i prof. Bartecki kierują niektórymi pracami nad wykorzystaniem odpadów poflotacyjnych.

Istotną zmianę pod względem organizacyjno-merytorycznym wnosi powołanie w r. 1972 Zakładu Doświadczalnego HYDRO-MECH w Kowarach. Powołanie do życia takiej placówki jest właściwie wydarzeniem bezprecedensowym w naszej praktyce. W ten sposób zostały stworzone nowe możliwości dla szerokiego eksperymentowania w zakresie procesów hydrometalurgicznych z wykorzystaniem bazy materiałowej dawnych Zakładów R-1 i działającego tam od wielu lat doświadczalnego zespołu inżynierów i techników. Przydatność Zakładu została już sprawdzona, m.in. w próbach nad opracowaniem kompletnej technologii przerobu żużli odpadowych z Huty Niklu „Szklary”. Istotnym czynnikiem zasługującym w związku z tym na podkreślenie jest fakt, że jako surowiec wykorzystuje się tu żużel odpadowy, który ze względów ekonomicznych a nawet technologicznych nie może być przerabiany metodą pyrometalurgiczną.

Problemy merytoryczne Programu Hydrometalurgia najlepiej omówić w oparciu o konkretne tematy badawcze, rozwiązane obecnie w Instytucie. Są to: Badania rud i odpadów przemysłowych w LGOM; Hydrometalurgiczny odzysk miedzi i metali towarzyszących z odpadów poflotacyjnych; Zastosowanie metod hydrometalurgicznych do wydzielania miedzi, srebra i innych metali z koncentratów poflotacyjnych; Otrzymywanie proszków miedzi i niklu w procesach redukcji ciśnieniowej; Opracowanie kompleksowej hydrometalurgicznej metody przeróbki szlamów anodowych; Opracowanie technologii odzysku miedzi i innych metali z ciekłych żużli metodą ekstrakcji stopionymi solami; Opracowanie

technologii odzysku niklu z żużli z żeludry; Zastosowanie flotacji jonowej dla odzysku z roztworów obiegowych. Jeżeli dołączymy do tego badanie nad przeróbką odpadów poflotacyjnych prowadzone we współpracy z „Cuprum” a dotyczące rekonesansowych prac nad wykorzystaniem związków i rozpuszczalników organicznych — to możemy z całą odpowiedzialnością twierdzić, że nasz Instytut z pełną energią realizuje szeroko zakrojone prace nad realizacją Programu.

Na koniec artykułu chciałbym zwrócić uwagę Czytelnika także na konsekwencje naukowo-dydaktyczne związane w sposób całkowicie naturalny z realizacją Programu Hydrometalurgia. Nawet laik może zorientować się na podstawie kilku zdań we wstępnej części artykułu, że u podstaw hydrometalurgii leżą procesy chemiczne, głównie zachodzące w roztworach wod-

nych. Wynika stąd bezpośrednio konieczność uwzględnienia całej złożoności takich układów. Innymi słowy, dla opracowania nowoczesnych technologii hydrometalurgicznych należy bardzo wnikliwie zbadać procesy kompleksowania, hydrolizy, wpływ stężenia jonów wodorowych wpływ temperatury i ciśnienia, i inn. Jak z tego widać możliwość opracowania nowych technologii determinowana jest rozwojem badań podstawowych. Badania te są też intensywnie rozwijane w Instytucie tak w zespołach badawczych jak i w prowadzonych przewodach doktorskich.

Konsekwencje dydaktyczne wiążą się z koniecznością przygotowania dobrze wyszkolonej kadry pracowników specjalizujących się w zagadnieniach hydrometalurgii. W Instytucie działa specjalizacja dydaktyczna pod nazwą „Chemia i Metalurgia Pierwiastków Rzadkich” a jej program jest ściśle

związany i dobrze uwzględnia wspomniane poprzednio zagadnienia, zaś prace dyplomowe poświęcone są laboratoryjnym badaniom nad wspomnianymi tematami. Wielu absolwentów — wychowanków naszego Instytutu przechodzi następnie do pracy np. do KGHM w Lubinie lub też do Zakładów Hydro-Mech w Kowarach.

Na zakończenie artykułu należy stwierdzić, że w zespołach badawczych Instytutu powszechną jest świadomość, że realizacja zadań objętych Programem Hydrometalurgia stanowić będzie nie tylko ważny etap w procesie wykorzystania złóż LGOM, ale także, że stwarza ona wyjątkową szansę rozwoju nowych kierunków w zakresie metalurgii chemicznej a także ścisłego powiązania badań podstawowych z technologicznymi.

ADAM BARTECKI

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA W DREŹNIE

W dniach 9–13 października br. odbyły się „Dni Nauki i Kultury Politechniki Wrocławskiej” w Dreźnie. Gospodarzem był drezdeński Uniwersytet Techniczny. Podczas trwania „Dni” staraliśmy się pokazać to, co w dorobku uczelnianej społeczności najbardziej godne uwagi.

Koncert inauguracyjny był wizytówką tego, co później prezentowaliśmy przez cały niemal tydzień w salach widowiskowych i klubach studenckich Uniwersytetu. Zgromadzona w auli publiczność obejrzała film pt. „Politechnika Wrocławska” będący — dzięki umiejętnej wykorzystaniu zdjęć archiwalnych i świetnemu montażowi — swoistą kroniką życia Szkoły. Przedstawiły się także grupy twórcze: zespół kameralny „Fram”, chór Politechniki „Sami Swoi”, Teatr Pantomimy „Gest” oraz Big-Band kierowany przez K. Piotrowskiego. Największe brawa otrzymał „Gest”, który przedstawił „Śmierć”, „Pragnąć” i „Agresję” — trzy obrazy zupełnie odmienne w konsekwencji i nastroju, jednak wszystkie znakomicie odbierane i zrozumiane.

Spośród następnych imprez niewątpliwym wydarzeniem dużej rangi artystycznej był galowy spektakl „Gestu”, który zaprezentował „Karuzelę”. Sala dla 500 osób była wypełniona do ostatniego miejsca. W pierwszej części programu wystąpił chór, który wykonał kilka pieśni. Po zakończeniu występu nastąpiły długo nie milknące owacje, kwiaty, gratulacje i zaproszenie do jak najszybszego, ponownego przyjazdu.

Wielce sympatyczne dla całych „Dni” było przyjęcie koncertu „Samych Swoich” i „Big-Bandu” w Centralnym Klubie Studenckim FDJ. Na początku spokojne, kurtuazyjne raczej oklaski, które w miarę upływu czasu, kiedy muzycy prezentowali się znakomicie, często dowcipnie aranżowanych utworach, przerodziły się w spontaniczną owację. Przedstawiony przez zespół „Sami Swoi” program „Jazz-Cinema” — w którym doskonale „robili” podkład muzyczny do niemych filmów Charlie Chaplina i jemu współczesnych — zakończył się burzą braw. Gdyby nie to, że w programie była jeszcze dyskoteka,

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI
Sygn..... 9016 / 11
Miejsce złozenia

w której prezentował swoje nagrania A. Kasprzyk, bisom nie byłoby końca.

Tak było ze wszystkimi imprezami. Chętnych do zobaczenia występów naszych zespołów przybywało z dnia na dzień. Ci, którzy byli na pierwszych koncertach i przekonali się o wysokim poziomie prezentowanych programów zrobili doskonałą reklamę. Na pożegnalny koncert zespołów jazzowych, który odbywał się w największej sali jaką dysponowała drezdeńska uczelnia, zjawili się prawie dwa razy więcej chętnych niż było miejsc. Mimo, że bilety rozprowadzone były wcześniej, tylko nielicznym udało się je uzyskać. Pozostali mogli tylko liczyć na łaskawość organizatorów. Koncert wypadł wspaniale. Zaplanowany na dwie godziny, znacznie się przedłużył, gdyż nie milknące brawa nie pozwalały muzykom zejść ze sceny.

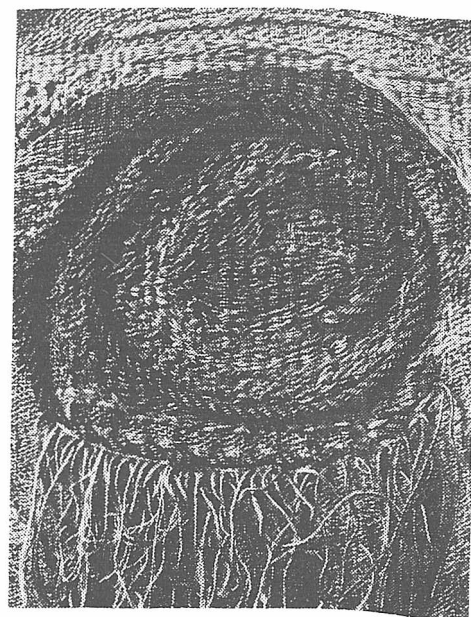
Równocześnie w małym, nastrojowym klubie studenckim przy Zwingerze prezentowaliśmy dyskotekę muzyki poważnej i koncert zespołu „Fram”. Ten ostatni mógł zadowolić nawet najwybredniejszych. W surowej scenarii piwnicznych murów, w świetle świec i ognia z kominka, „Fram” zrobił furorę. Po koncercie wszyscy z uznaniem wyrażali się o dużej kulturze muzycznej zespołu.

Imprezy kulturalne odbywały się wieczorami równolegle w dwóch salach. Natomiast przez całe dnie czynne były wystawy pokazujące dorobek naukowy i dydaktyczny Politechniki. Prezentowaliśmy m.in. dotychczasowe osiągnięcia w dziedzinie zautomatyzowanego systemu informacji naukowej APIN, który będzie częścią systemu WASC, a także znakomitą wystawę architektury.

W salach wykładowych Uniwersytetu Technicznego odbywały się wykłady prowadzone przez pracowników naukowo-dydaktycznych Politechniki.

W wolnych chwilach zwiedzaliśmy Dreźnie — historyczny Zwinger i nowoczesne Centrum. Byliśmy także w Pillnitz.

Ostatni dzień, to jeszcze raz „Gest”. W tym samym klubie, gdzie poprzednio triumfował „Fram”, w atmosferze przypominającej aktorom okres debiutu



Fot. J. SAMOTUS

teatru, na małej zaimprovizowanej scenie mimowicie zaprezentowali kilkanaście etud pantomimicznych, które były niejako przeglądem ich twórczości z pierwszych lat istnienia grupy. Przyjęcie publiczności było owacyjne. Ponieważ chętnych było znacznie więcej niż mogło zmieścić się w sali, „Gest” po krótkiej przerwie powtórzył program.

Na zakończenie ostatnia dyskoteka. Nagrania stare, nowsze i najnowsze prezentował A. Kasprzyk. Bawiono się świetnie, a gospodarze na każdym kroku wyrażali swoje podziękowania i uznanie.

Prezentowania naszych zespołów obejrzało w sumie prawie 3 tys. osób, oczywiście głównie studentów choć nie brakowało także pracowników naukowych Uniwersytetu.

Zabierając głos w czasie pożegnania, przedstawiciel kierownictwa Uniwersytetu Technicznego dziękując za doskonałe przygotowanie imprezy wyraził przekonanie, iż w najbliższym czasie zostaną stworzone warunki sprzyjające częstszym wizytom zespołów artystycznych z obu krajów. Kontakty takie będą sprzyjać zacieśnieniu współpracy między Uczelniami i wzajemnemu poznaniu.

...ciekawostka, która nas zaskoczyła to „stojące koszule”. Koszule takie można było ustawić na ziemi i nie zmieniały one swojego kształtu. W twierdzy obowiązywał zakaz prania koszul. Były one nasycone DDT i gdy zostały z nich tylko szwy, można je było wymienić.



moje boje

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn.....

90/6/12

Miejsce złożenia

Andrzej Szaynok

Spotkał mnie dzisiaj, jak zwykle w przelocie, na korytarzu koło Dziekanatu red. Sigmy. Czulem przez skórę, że pragnie mnie czymś uszczęśliwić. Możliwości w tym zakresie ma On raczej spore i pomysłów Mu nigdy nie braknie. To co usłyszałem przeszło moje najgorsze oczekiwania:

— Napiszesz coś na temat swojej drogi do Polski: wojna, zabijanie, przygody, Aleksandria, Tobruk, Rzym, Monte Cassino, Neapol, wino, whisky, gin... — Walczyłeś na Zachodzie o Wolność i Niepodległość. Termin: najbliższa sobota.

Krótko i jasno. Wiadomo kto ma pisać, wiadomo o czym i wiadomo na kiedy. Moje wątpliwości dlaczego właśnie ja i dlaczego na ten temat zostały rozwiane w sposób nie pozwalający na dalsze sprzeciwy: „potrzeba chwili, obowiązek obywatelski, itd. a w ostateczności nie masz się czego wstydzić”. Mój ostatni argument, że przecież ja chemik, a nie żaden literat ani redaktor, odbił się głuchym echem od ścian pustego korytarza.

Zrobiło mi się dosyć nijako. Tą moją drogę do Polski traktowałem zawsze jako jeden z etapów, mojej osobistej, prywatnej ścieżki życiowej. Ten trudny etap udało się przejść nie tylko mnie. Przeszły go miliony obywateli tego kraju, nie tylko na Zachodzie lecz również i przede wszystkim tu w Polsce.

Na domiar złego przypomniał mi się taki jeden nasz znajomy przedwojenny. Pan Rotmistrz, uczestnik I Wojny Światowej, bohater licznych bitew i potyczek.

Uroczy to był człowiek, niezrównany gawędziarz, żywa historia tamtych czasów. — Zupełnie tak, jak ja dzisiaj. Tylko, że ja w on czas byłem zupełnie inny i w moim przekonaniu zupełnie podobny do dzisiejszej młodzieży. Pierwszej opowieści rotmistrza o jego przewagach w polu słuchałem z szeroko otwartymi oczyma, oniemiały z wrażenia. Tak zawsze wyobrażałem sobie wzór obywatela, żołnierza i bohatera. Po jakimś czasie miałem okazję do wysłuchania jeszcze raz tej samej epopei. Druga wersja opisu bitwy różniła się w wielu szczegółach od pierwszej. Po wysłuchaniu wersji trzeciej nie mogłem poznać ani pola bitwy ani bohaterów nie mówiąc już o narratorze. Młodzi ludzie są, byli i będą spostrzegawczy a sądy ich są surowe i bezkompromisowe. Również i ja, dzisiaj nie jestem prorokiem we własnym domu. Moje dzieci wyżej sobie cenią w ojcu towarzysza wypraw turystycznych, partnera siatkówki, tenisa czy ping-ponga, niż zanudzającego ich wspomnieniami z II wojny światowej wapiaka. Diabli nadali tego redaktora.

Postanowiłem decyzję odłożyć do wieczora, tym bardziej, że naszym życiem w Uczelni rządzą twarde prawa dnia dzisiejszego i najbliższego futurum. Sprawy z teczki plusquamperfectum nie mają najmniejszych szans na dogonienie czasu teraźniejszego, który wymaga od nas zaangażowania i szarego bohaterstwa na co dzień.

Wieczorem zawiódł mnie, z trudem wypracowany nawyk dokumentnego zapominania o wszystkich przyjemnych i nieprzyjemnych zdarzeniach ubiegłego dnia. Z najgłębszej podświadomości zaczęła mi się wyczarowywać sylwetka mojego najdroższego przyjaciela Redaktora G. Dbając o swoją higienę psychiczną zapewniłem go, że wszystkie dokumenta dostarczone mu będą akuracie i terminowo... i zasnąłem. Ta sama historia powtórzyła się następnego wieczora. Metafizyczna presja i pozamysłowy kontakt kazały mi wstać z tapczanu i zacząć pisanie, pożałuj Boże, „pamiętnika”. Tego jeszcze w tej Uczelni nie robiłem.

Siedzącą nad dziewczicą kartką papieru, opanowała mnie natrętna, nieuporządkowana gonitwa myśli. Zaczęły się pojawiać obrazy i postacie sprzed 34 lat. Niektóre zatarte i niewyraźne a niektóre tak ostre jakbym je widział i przeżywał wczoraj. Postanowiłem, że nie będę niczego wygładzał przeredagowywał. Będę pisał po kolei to co czuję i myślę.

Początek tej mojej drogi do Polski kojarzy mi się zawsze z wiosną 1939 r. i pierwszą samodzielną wyprawą narciarską w Czarnochorę. Schronisko na Hali Maryszewskiej, słońce, firn i przede wszystkim wspaniali ludzie: studenci i inni zaprzysiężeni wyznawcy bożka słońca i śniegu. Dla 17-latka była to okazja złapania życia na gorącym uczynku i stworzenia sobie wizji własnej przyszłości. Zarysowały się pierwsze młodzieńcze plany na przyszłość: studia, praca i pełne wykorzystanie wszystkich możliwości jakie daje przywilej młodości. Oczywiście w otoczeniu takich właśnie wspaniałych ludzi. Zacząłem poznawać smak życia, a apetyt naprawdę mi dopisywał. — Wrzesień 1939 r. przekreślił w sposób definitywny i nieodwracalny wszystkie naiwne marzenia i plany. Katakizm ten ogarnął całe społeczeństwo polskie a w szczególności tych najbardziej aktywnych i zaangażowanych. Weszliśmy wszyscy na drogę, której koniec osiągnęli tylko nie-liczni.

Nie doszedł do jej końca Zbyszek K., student I roku Politechniki Lwowskiej, podchorąży piechoty — zginął w czasie kampanii wrześniowej. Nie osiągnął jej końca kuzyn mój Janek S., ranny w obronie Lwowa, który wykrwawił się czekając na opatrunek. Wojtek P. zestrzelony w ostatnich dniach wojny, leży gdzieś na francuskim cmentarzu. A Ci wszyscy, którzy pozostali na szlaku I i II Armii Polskiej, a Ci, którzy gryzą libijski piasek a Ci z Francji i inni spod dziesiątek rzek, miast i linii oporu. Na lądzie morzu i po-

wietrzu. Nie było w Polsce rodziny, która by nie poniosła ofiar.

13 września 1939 r. opuściłem Lwów razem z przyjaciółmi i kolegami szkolnymi: Adamem, Jackiem i Jaśkiem. Moment ten i chwile go poprzedzające wryły mi się w pamięć szczególnie głęboko. Było to pożegnanie Matki i Miasta. Ostateczne.

Przejechaliśmy i częściowo przeszli trasę ze Lwowa do Czortkowa. Uświadomiliśmy sobie na tej drodze dokładnie, co kryje się za hasłem wojna totalna. Kończyli na niej życie żołnierze, cywile, kobiety, starcy i dzieci. Nauczyliśmy się tutaj w bardzo krótkim czasie nienawiści.

W Czortkowie pozostaliśmy do 17 września kiedy to okazało się, że wszystko jest właściwie skończone. Należało podjąć dalszą trudną decyzję. Pozostać w kraju czy uciekać za granicę. Przeważała ta druga.

Wybraliśmy trasę na południe, wzdłuż Seretu do granicy rumuńskiej. Już pierwszy dzień przekonał nas, że jesteśmy otoczeni wrogiem społeczeństwem. Za jedno wypowiedziane po polsku słowo grozi jedyna konsekwencja: śmierć zadana w bestialski sposób. Poznaliśmy uczucie strachu i absolutnej bezsilności. Tu trzeba było być inteligentniejszym, silniejszym i szybszym. Nam pozostawał tylko spryt i szybkość. Maszerując tylko w nocy, dotarliśmy po trzech dniach do granicy państwa. Pożegnał nas o mglistym świcie ostatni przedstawiciel władzy Rzeczypospolitej Polskiej, granatowy policjant, przybity kółkami do asfaltowej szosy, z wyłupa-

nyimi oczyma i wydartymi wnętrznościami. Ten też pozostał na szlaku.

„I co ty tutaj za głodne kawałki zaiwaniasz? Przecież to było wszystko zupełnie normalne. To była wojna wraz z jej wszystkimi konsekwencjami. A ty wtedy nawet do pięciu nie potrafiłeś się doliczyć”. Tak by powiedział Adam, który doszedł dalego, ale też drogi nie ukończył. Rzeczywiście gdyby nie On, sprawdzilibyśmy na własnej skórze jak długo trwa wypuszczanie jelit chajdamackimi buciurami. A trwa to podobno długo i trzeba się przy tym solidnie napracować. Zabawa to dla amatorów przednia.

Po gładkim przejściu granicy zgłosiliśmy się grzecznie do rumuńskiego posterunku straży granicznej, przekonani że postrakują nas jako uchodźców. Domnul comendantul był jednak innego zdania Przydzielił nam asystę czterech żołnierzy, którzy pod bagnetami odprowadzili nas z powrotem do granicy. Nic tylko siadać i płakać. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że myślenie ma kolosalną przyszłość. Wiedział o tym doskonale Zagłoba stosując z powodzeniem swoje fortele i w jego też ślady poszedł Adam popadając w głęboką zadumę. Po kilku minutach zerwał się i przejął władzę w swoje ręce. Zarekwirował cały nasz kapitał w postaci złotej 20-to dolarówki, udał się do rumuńskiego wartownika, który się w pobliżu kręcił i po 10 minutach wrócił z gotowym planem: przechodzimy granicę pojedynczo, co pół godziny i spotykamy się wszyscy (cała czwórka) w ściśle określonym miejscu odległym ok. 4 km od granicy. Adam przeszedł ostatni i zameldował się wielce zadowolony i dumny ze złotą monetą w zębach. Rzecz była dziecinnie prosta. Rumun zarządził po 20 dolarów od łebka, na co uzyskał natychmiastową zgodę pod jednym warunkiem, że całą kwotę — okragłe 100 dolarów w złocie — otrzyma od ostatniego przechodzącego. Tym ostatnim był oczywiście ten piąty nieistniejący. Czy to było uczciwe? Chyba nie, ale proste i skuteczne. I to była kolejna lekcja życiowa: nie ma sytuacji bez wyjścia.

Opuściwszy szybko miejsce przestępstwa rozpoczęliśmy marsz w kierunku Czerniowiec. Po różnych najdziwniejszych przejściach wcielając w życie najbardziej zwariowane i beczelne pomysły dotarliśmy do Bukaresztu, gdzie zaproponowano nam ni mniej ni więcej tylko ukończenie szkoły. I tu ścieżki całej czwórki się rozeszły. Adam i ja doszliśmy do wniosku, że jak nadarza się okazja to należy ją wykorzystywać. Jacek i Jasiek uważali, że „salus rei publicae suprema lex esto” i postanowili jak najszybciej przelać krew za Ojczyznę. Po dwóch tygodniach byli we Francji w Armii Polskiej. Nie udało im się jednak zrealizować tego przelewania krwi. Jasiek został internowany w Szwajcarii, gdzie ukończył studia a Jacek dostał się do Anglii gdzie spokojnie oczekiwał inwazji.

Ja z Adamem dostałem się do „Liceul Polonez din Ploesti” w celu pobierania dalszych nauk. Cała ta zabawa nie trwała długo. Już 1 kwietnia 1940 roku odbyła się uroczysta „Kriegs Matura” pod łaskawym protektorem profesora Vetulaniego. W związku z rychłym wyjazdem z Rumunii musieliśmy też zakończyć naszą małą, prywatną wojnę z Rzeszą Niemiecką. Cała klasa maturalna zorganizowała misterną siatkę szpiegowsko-dywerysyjną. Zadaniem naszym było liczenie wagonów z ropą naftową przeznaczoną dla Niemiec. Mieliśmy również bardziej ambitne plany jak wysadzenie rafinerii i inne jeszcze mniej realne. Wszystko skończyło się jednak na liczeniu wagonów. Przed nami stał nowy etap drogi. Trzeba było jeszcze przebrnąć przez urząd emigracyjny w Bukareszcie i uzyskać wizę wyjazdową „plecare”. Byliśmy jednak już ludźmi dojrzałymi i doświadczeniymi więc załatwienie tak prostych spraw nie nastrecało nam większych trudności. W Constancy pożegnaliśmy uroczystie Rumunię i niemieckich szpicli depczących nam po piętach. Po zaokrętowaniu na piękny motorowiec „Transilvanii”, wyładowaliśmy 1 maja 1940 r. w Bejrucie.

Już następnego dnia zostaliśmy wciągnięci w pierwsze tryby tej gigantycznej maszyny do mięsa obsługującej sprawnie wszystkie fronty i nie tylko fronty II wojny światowej. Wyfasowałem sukienne sorty mundurowe, wełniane swetr i bieliznę, która po półgodzinnym noszeniu w tropikalnym upale nabierała cech blachy stalowej pokrytej proszkiem szmerglowym. Otrzymałem legitymację Nr 202 i pierwszy przydział vin rouge. W 9 miesięcy po opuszczeniu Polski przestałem być parszywym cywilem. Jednostka nasza, Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich, dowodzona przez ówczesnego pułkownika a potem generała Stanisława Kopańskiego, wchodziła w skład francuskich sił zbrojnych Levantu.

Po kilku dniach przetransportowano nas do Homsu, głównej bazy szkoleniowej Legii Cudzoziemskiej. Tu otrzymałem przydział do kompanii broni towarzyszących, dowodzonej przez por. Kanię i dostałem się w ręce podchorążego Fudali, który miał nas nauczyć garnizonowego drylu i wojennego rzemiosła. Uczyliśmy się obsługi dział przeciwpan-

cernych Pitot'a kal. 25 mm i moździerzy typu Stokes kaliber 81 mm. Zapoznaliśmy się dokładnie z ciężarem i złożiwościami tego żelastwa. Powoli przepoczwarczaliśmy się w wojsko z prawdziwego zdarzenia, czemu towarzyszyło obfite wylewanie potu i złorzeczenia na parszywy los. Szczególnie nie-laskawie obchodził się ten los i dowództwo z cenzusowcami którym jako ludziom inteligentnym i subtelnym powierzono opiekę nad mułami. I tak moją pierwszą funkcją w wojsku było wielce odpowiedzialne stanowisko mułowodnego. Moich bojów z tymi zwierzętami w górach Antylibanu opisywać nie będę, bo nie o to chyba chodzi. Chciałbym podkreślić tylko jedno, że w miarę upływu czasu utwierdzaliśmy się w przekonaniu, że mamy mądre, dobre i ludzkie dowództwo, od kaprała począwszy a na generale skończywszy. Potrafiliby oni w bardzo krótkim czasie scementować wojsko, w skład którego wchodził bardzo różnorodny element. Inteligencja, od świeżo wypierzonych maturzystów do ludzi z wyższym wykształceniem, robotnicy i chłopi, z różnych rejonów kraju. Ludzie w pewnym sensie wyselekcjonowani, bo tylko ci obdarzeni największą inicjatywą, wytrzymałością i sprytem mieli szansę dobrać aż tutaj do Syrii. Nie brakło wśród nas i awanturników spod znaku Legii Cudzoziemskiej. Stworzony został zespół zwarty, twardy i koleżeński a co najważniejsze wewnętrznie zdyscyplinowany. Więź ta pogłębiła się jeszcze po kapitulacji Francji. Postawa dowództwa Brygady a w szczególności generała Kopańskiego stworzyła klimat pełnego zaufania i wiary w dowództwo. Nazwiska takich ludzi jak Kopański, Peszek czy Sokol będą dla nas zawsze synonimem Towarzyszy Broni. Wśród wojska tworzyła się o nich legenda, powstały piosenki i ballady. Dzięki Nim, Brygada do Palestyny przeszła pod bronią.

Propaganda niemiecka rozgłaszała, że jesteśmy turystami generała Kopańskiego. Już w niedługim czasie mieliśmy te nasze „turystyczne” ciągoty zrealizować na pustyni Libijskiej i w Cyrenajce. Nim jednak do tego doszło Brygada musiała przestawić się na organizację Armii Brytyjskiej i zapoznać się z nową bronią, czyli praktycznie rzecz biorąc, przejść od początku podstawowe przeszkolenie na wszystkich szczeblach dowodzenia. Poznawaliśmy zwyczaje panujące w Armii Angielskiej. Docieraliśmy się z naszymi towarzyszami broni. Nie zawsze przychodziło to gładko. Najlepszym kontrargumentem na pychę i zarozumiałość panów świata było ręczne wytłumaczenie im, że do polskiego żołnierza należy się odnosić z szacunkiem. Do tego naszych zawiadaków nie trzeba było namawiać.

Po okresie palestyńskim nastąpiła nowa zmiana mp., bliżej naszego przyszłego rejonu działania. Weszliśmy w skład grupy wojsk obrony Aleksandrii. Sytuacja na froncie nie była wesoła i zmuszała aliantów do wzmocnienia obrony tak ważnego punktu strategicznego jak kanał Suezki. Brygada organizowała obronę na linii umocnień w Dekeili i Agami na zachód od Aleksandrii. Sąsiedztwo tego miasta przyczyniło się do uatrakcyjnienia tego pierwszego „bojowego” zadania. Polegało ono na organizowaniu punktów oporu, budowie umocnień, schronów i rowów przeciwpancernych. W dniach wolnych od słóży zwiedzaliśmy Aleksandrię, Kair, piramidy i inne starożytności. Nasze zainteresowania nie ograniczały się tylko do archeologii. Aleksandria była przede wszystkim źródłem wszelkich żołnierskich uciech i radości. Kabaretów, barów i innych mniej lub bardziej podejrzanych melin było bez liku. Tu właśnie nawiązana została przyjaźń i braterstwo broni z oddziałami Australijskimi. Przypadliśmy sobie ogromnie do serca. Australijczycy byli wspaniałymi kompanami tak do wypitki jak i do bitki.



LUDZIE i NAUKA

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn.....

90/6 10

Miejsce złożenia

młodzi adepci nauki

Rozmawiamy z prof. Zbigniewem Żyżkowskim, długoletnim pracownikiem naukowo-dydaktycznym naszej Uczelni, doświadczonym dydaktykiem, naukowcem, dyrektorem Instytutu Telekomunikacji i Akustyki.

— Jakie cechy zdaniem Pana Profesora predysponują do podjęcia pracy naukowo-dydaktycznej?

— To, czy młody pracownik pozostanie w Uczelni często uzależnione jest od oferowanych mu warunków materialnych. Nasz Instytut np. stracił wielu cennych, młodych ludzi, jedynie dlatego, że nie mogliśmy im zapewnić mieszkania.

— Czyli, skorzystali z propozycji atrakcyjniejszych warunków pracy gdzie indziej.

— Tak, zresztą oni zupełnie jasno stawiali sprawę: praca w Instytucie, owszem, bardzo interesująca, ale...

— A wracając do sedna pytania...

— Na podstawie moich obserwacji, sądzę, że nieodzowną cechą, która powinna tkwić w każdym pracowniku, bądź kandydacie na pracownika nauki, jest uporczywość. Nie wystarczą same zainteresowania i uzdolnienia aby uzyskać powodzenie w prowadzonej przez siebie pracy. Konieczna jest konsekwencja i upór w działaniu — w kontynuowaniu działalności. W mojej praktyce zawodowej spotkałem się z takimi wypadkami, że człowiek który wydawałoby się posiadał wszelkie warunki, niezbędne wzorcowi pracownika nauki — w pewnym momencie załamywał się, nie wystarczało mu silnej woli by kontynuować rozpoczętą pracę. Najczęściej wiązało się to z koniecznością dostrzymywania terminu wykonania pracy. Tego właśnie młodzi ludzie nie potrafili. Potrzebują swobody.

— Kandydat na pracownika naukowo-dydaktycznego powinien więc posiadać pewne cechy już w momencie przystępowania do wykonywania zawodu, ale być może te inne, brakujące mu w początkowym okresie, mógłby przyswoić sobie w trakcie wykonywania pracy. Jak Pan sądzi?

— W pewnym okresie trudno było znaleźć kandydatów do wykonywania zawodu pracownika naukowo-dydaktycznego. Było to uwarunkowane szalenie niskim, w porównaniu z przemysłem uposażeniem, jakie mogliśmy zaproponować stażystom. Przyjmowaliśmy więc każdego, kto reflektował na pracę u nas, mimo że naszym zdaniem nie zawsze posiadał on odpowiednie kwalifikacje. I właśnie wtedy była okazja aby stwierdzić, że człowiek, z którego — przy możliwości dokonywania wyboru — na pewno zrezygnowalibyśmy, wciągał się w swoją pracę, okazywał się doskonałym materiałem na pracownika naukowo-dydaktycznego. Już w trakcie wykonywania zawodu przyswajał sobie bądź ujawniał te cechy, które są niezbędne do jego wykonywania. Naturalnie nie okazywał się doskonałością

cią jeśli chodzi o niego jako naukowca, ale obowiązki dydaktyczne wypełniał bardzo dobrze, skrupulatnie, sumiennie.

— Właśnie, musimy przecież pamiętać o tej podwójnej roli pracowników naukowo-dydaktycznych. O ich działalność na polu nauki i dydaktyki.

— Fakt wiązania się nauki z dydaktyką w pewnym sensie utrudnia całą sprawę. Pracownik naukowo-dydaktyczny z jednej strony jest rozliczany z zajęć dydaktycznych; praca naukowa jest traktowana dotychczas jako coś całkowicie marginesowego. Z drugiej strony pracownika ocenia się głównie z punktu widzenia jego osiągnięć naukowych — dostaje awans jeżeli wykaże się odpowiednią ilością publikacji. Ale równocześnie na działalność naukową nie wystarcza czasu. Pracownik naukowo-dydaktyczny jako pracownik naukowy jest w zasadzie sprawny w 1/3. To znaczy 3 pracowników naukowo-dydaktycznych odpowiada 1 pracownikowi naukowemu. Obecnie np. proponuje się skrócenie czasu przeznaczanego na pisanie pracy doktorskiej do 3 lat. Owszem, wykonanie jej w tym czasie jest możliwe, ale przy założeniu, że zwolni się doktoranta z wykonywania jakichkolwiek innych zajęć. Natomiast jeżeli będzie on obciążony zajęciami dydaktycznymi — jego czas należałoby przemnożyć trzykrotnie. Uzyskamy wtedy 9 lat, co moim zdaniem, nie jest górnym limitem, lecz efektem normalnie wykonywanej pracy doktorskiej, przy równoczesnym spełnianiu wszelkich obowiązków, jakie przypisane są pracownikowi naukowo-dydaktycznemu. Rodzi się więc pytanie: czego wymagać? Z jednej strony od dydaktyka należy na pewno oczekiwać aby był to sumienny, pracowity, solidny człowiek, posiadający łatwość nawiązywania kontaktów z młodzieżą; z drugiej strony — naukowiec — tu znacznie trudniej jest sprecyzować wymagania jakie powinny być postawione, ale na pewno winien to być ktoś, kto chce dociekać nowych prawd, poszukiwać uogólnień.

— I chyba dążyć do tego, by swoje założenia konsekwentnie realizować.

Panie Profesorze, a morale — czy nie powinno się brać pod uwagę morale młodego człowieka, który ma pozostać w Uczelni? Co powinien sobą reprezentować?

— Jest to zupełnie oczywiste. Przecież człowiek, który ma być wychowawcą, będzie stale pod obserwacją tych, których ma wychowywać. Musi więc cechować się wysokimi normami etycznymi.

— Tak, to jako dydaktyk, a jako naukowiec?

— Sprawy moralności naukowców

można dyskutować bardzo szeroko. Było wielu ludzi o wysokich walorach naukowych których podjęcie do kolegów było często niezgodne z ogólnie przyjętym postępowaniem. Byli tacy, którzy publikowali osiągnięcia innych — często swoich współpracowników, czy podwładnych — jako własne. Zdarzało się, że przyswajali sobie prace, których w ogóle nie robili. Jest to na pewno w wysokim stopniu niemoralne. Tylko jak, w jaki sposób przewidzieć wartości moralne przyszłego pracownika nauki? To jest chyba niemożliwe.

— Wydaje mi się Panie Profesorze, że w pewnym sensie, choćby bazując na możliwości poznawania studenta przez szereg lat jego studiów, można określić czy kandydat na przyszłego pracownika naukowo-dydaktycznego jest po prostu uczciwy. Bo moim zdaniem, uczciwość jest tą zasadniczą cechą, którą powinno się brać pod lupę.

— To byłoby założeniem idealnym. Trzeba pamiętać o tym, że wyboru dokonujemy spośród grona kandydatów, którzy wykazują chęć podjęcia pracy w Uczelni, na podstawie ich indeksu, postępów w nauce. Natomiast nasz kontakt ze studentem nie wystarcza aby go dobrze poznać, aby móc ocenić go jako człowieka. I w tym momencie wydaje mi się słuszne wprowadzenie okresu stażu. Jest on tylko jednoroczny, może krótki ale właśnie wtedy jest okazja aby dokonać właściwej selekcji. Odpowiednich ludzi zatrzymać, z niespełniającymi warunków — pożegnać się.

— Panie Profesorze w trakcie stażu rzeczą stosunkowo łatwą jest ocenić czy pracownik jest tylko rzemieślnikiem, czy artystą — a przecież naukowiec winien mieć w sobie coś z artysty — czy nadaje się on na pracownika nauki. Ale czy Pana zdaniem dobór na pracowników naukowych nie powinien być dokonywany wcześniej? Może już w trakcie studiów? Czy rzeczywiście powinni być przyjmowani ci wszyscy, którzy sami się do tego garną?

— Jest to taki sam problem jak przyjmowanie na studia. Wtedy właściwie powinniśmy przyjmować wszystkich. To, jakimi będą studentami okaże się dopiero w trakcie nauki. Podobnie przy przyjmowaniu do pracy. Jakim kto będzie pracownikiem, okaże się dopiero w trakcie pracy. Moim zdaniem zadecydowanie o jego przydatności ma służyć staż. Dopiero mając stażystę pod bezpośrednią obserwacją, jesteśmy w stanie określić jego przydatność do wykonywania zawodu. Wcześniej jest to niemożliwe.

— Kto i w jaki sposób powinien decydować o przydatności do zawodu?

— Na pewno decyzja taka nie powin-

na zapadać indywidualnie lecz w sposób kolegialny. A więc na podstawie zdania ludzi, którzy z ocenianym spotykali się w czasie studiów. W praktyce jest to jednak niewykonalne. Na przeszkodzie temu stoi masowość naszych studiów.

— A SNS? — przecież w założeniu tego Stowarzyszenia tkwi kształcenie przyszłych pracowników nauki.

— Założenia SNS-u istotnie są tego rodzaju. Zakładało się nawet, że pracownikiem może zostać tylko taki student, który przeszedł przez SNS, ale praktycznie instytucja ta mimo licznych prób jej ożywienia, jest na poły martwa. Rozważane jest powstanie Uniwersytetu Technicznego. Przecież to nawrót do czasów perypatetyków. Chcielibyśmy nauczać w małym, wąskim gronie, gdzie nauczyciel jest mistrzem dla ucznia. Lecz czy jest to możliwe przy naszej masowości szkolenia? SNS miał być nawiązaniem do tej idealnej formy.

— Panie Profesorze, wspominał Pan o stażach pracowniczych. Chciałabym do tego tematu powrócić. Mówiliśmy o czasie trwania stażu, a jak powinien on wyglądać, Pana zdaniem, od strony organizacyjnej? Czy powinien przebiegać pod czymś bezpośrednim kierunkiem? Jak duża powinna być pomoc i opieka ze strony prowadzącego stażystę? Bo przecież zdarzają się sytuacje, że młody, zdolny człowiek zaczyna swoją pracę w Uczelni od parzenia herbaty, pisanie na maszynie; zamienia się w gońca. A tak chyba być nie powinno. Przecież to wyśmienita okazja, żeby zmarnować tego młodego człowieka, nauczyć go cwaniactwa.

— Takie traktowanie stażysty jest pewnym wypaczeniem idei. Powinien on być wciągany do pracy w możliwie poważne zagadnienia w sposób jak najprostsz. Wydaje mi się, że sprawą istotną jest wzbudzenie zaufania w pracowniku. Powinien on czuć, że osoba z którą pracuje jest mu życzliwa, że chce mu pomóc, że chce go prowadzić. Powinno się dążyć do wspólnego rozwiązywania trudności. Właśnie naprzeciw trudnościom z jakimi się może spotkać podopieczny powinien wychodzić jego mistrz. Dopiero wtedy gdy wytworzy się wzajemne zaufanie, mistrz będzie mógł właściwie prowadzić swego ucznia. W każdym innym przypadku będzie to tylko wykonywanie formalnych zadań. Prowadzący nie będzie się starał wniknąć w rzeczywiste trudności stażysty. A to jest konieczne, konieczny jest odpowiedni klimat, pewnego rodzaju ciepło.

— Czyli szalenie dużo zależy od tego pod czym kierunkiem pracuje stażysta i jak w tej pracy jest kierowany. W pewnym momencie młody człowiek musi zacząć prowadzić zajęcia dydaktyczne. W którym? Czy już jako stażysta?

— Wydaje mi się, że tak. Przy czym powinien zacząć od prowadzenia zajęć najprostszych. A więc kolejno poprzez laboratoria, ćwiczenia audytoryjne, przejść do prowadzenia wykładów.

— Jak powinno przebiegać jego przygotowanie się do zajęć? Czy powinien być pozostawiony sam sobie? A może powinien tym kierować przełożony? Czy należy zajęcia hospitować?

— W naszym Instytucie dyskutujemy pierwsze zajęcia prowadzone przez stażystów. Mam tu na myśli laboratoria. Natomiast w wypadku zajęć audytoryjnych wychodzimy z założenia, że prowadzący je jest już na tyle człowiekiem dojrzałym, iż powinien sam decydować o ich formie. Natomiast powinien przygotowane przez siebie tematy zajęć

przedyskutować ze swoim przełożonym. Nie może być sam. Musi bazować na doświadczeniu innych.

— Jeszcze jeden problem. Jak powinien wyglądać przebieg kariery młodego naukowca? Czy ułatwiać mu ją, czy przyspieszać? Czy należy kłaść wszystko na tempo — a więc aby jak najszybciej uzyskiwać doktoratów, docentów?

— W tym wypadku należy brać pod uwagę właściwości naszego umysłu. Człowiek jak wiadomo jest najbardziej chłonny do trzydziestego roku życia. W tym okresie powinno mu się umożliwić zgromadzenie jak największego zasobu wiedzy. Potem posługuje się on głównie zdobytym doświadczeniem. Moim zdaniem należy umożliwić pracownikowi szybkie zdobywanie jak najwyższego szczebla naukowego. Umożliwić mu jak najszybsze zrobienie doktoratu — to jednak, jak już mówiłem, można uzyskać drogą zwolnienia z zajęć dydaktycznych. Dydaktyka nie ucieknie, ona potrzebuje doświadczenia, zasobu wiedzy teoretycznej. Nauka potrzebuje chłonności. Tak więc w pierwszym okresie wskazanym jest postawienie na naukę, potem dopiero poświęcenie się dydaktyce.

— Czy Pan nie uważa że osiągnięcie w

szybkim tempie wysokich laurów psuje w pewnym sensie ludzi?

— Nie, moim zdaniem nie. Przy czym zależy to od indywidualności.

— Często zdarza się, że młody człowiek szybko uzyskuje tytuł doktora, potem habilitacja, tytuł docenta i w tym momencie zaczyna wychodzić z założenia, że cała reszta poleci „z górki”.

— Wszystko zależy od tego czego się w danym zawodzie szuka. Jeżeli uzyskanie tytułów naukowych jest zasadniczym celem — to istotnie źle. Tytuły powinny stanowić skalę, według której można się orientować o wiadomościach danego pracownika. Tytuły powinny być adekwatne do wiedzy ich właściciela. Powinny być wskaźnikiem jego osiągnięć i zdolności. Możliwość szybkiego pokonywania szczebelków nie powinna mieć wpływu na późniejszą postawę pracownika. Bo ambicja zostania docentem lub profesorem jest zdrowa, przy założeniu, że ten tytuł będzie się zawsze pokrywał z określonym zasobem wiedzy. Właśnie wiedza powinna być celem, do którego się dąży.

— Dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.

Rozmawiała: WANDA DRYLL

Fot. R. MAKOWSKI



CZYN

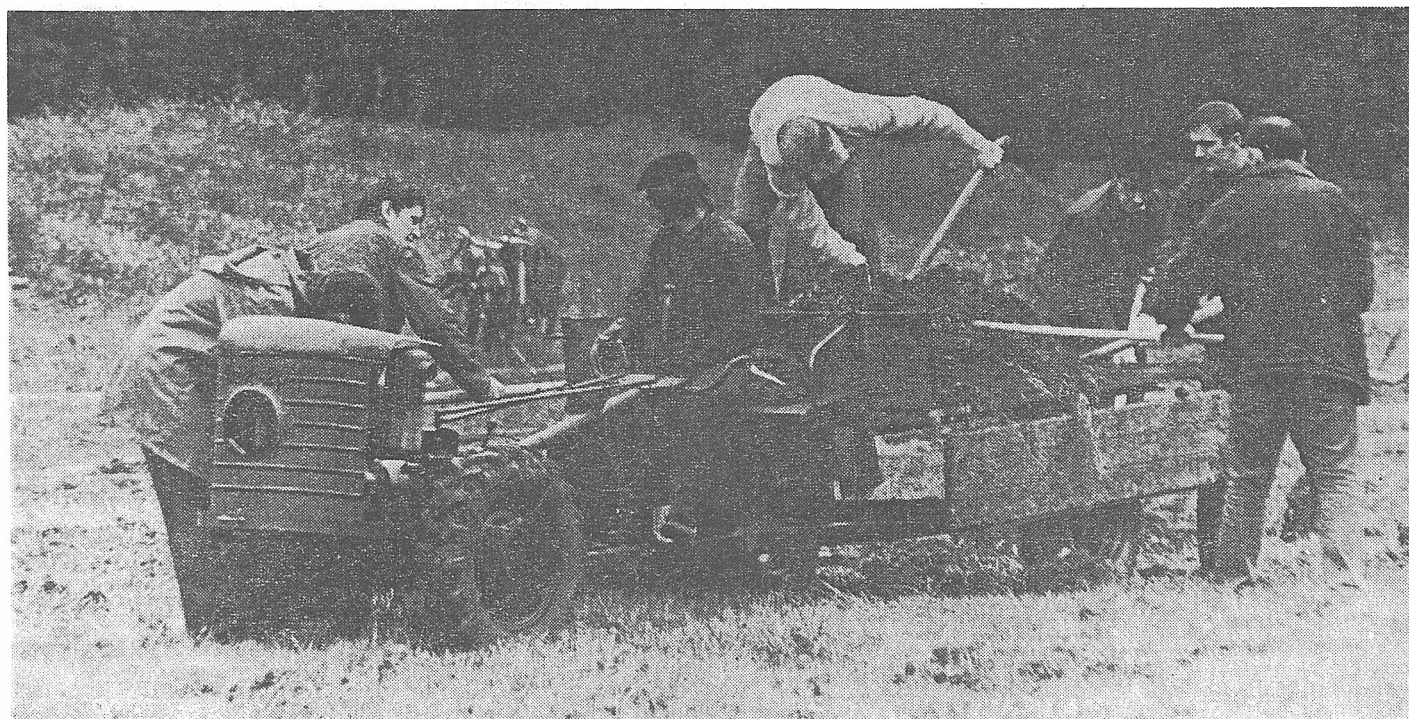
PARTYJNY

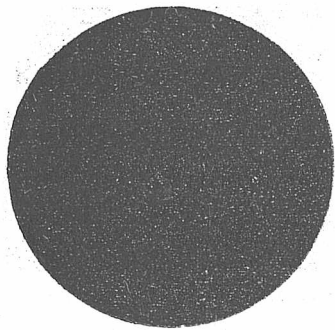


Niedziela „Czynu Partyjnego“
była w całym Kraju
dniem wspólnej i intensywnej pracy
członków Partii
i wielu bezpartyjnych.

Także członkowie Partii
z naszej Uczelni,
pracownicy i studenci,
pracowali tego dnia
dla miasta
i dla Uczelni.

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI
Sygn..... 90/6 / II
Miejsce złożenia





Na zdjęciach przedstawiamy migawki z „Czynu Partyjnego” pracowników i studentów Politechniki Wrocławskiej



Prace porządkowe
na Stadionie Olimpijskim
służyły upiększeniu
miejskich terenów rekreacyjnych,
natomiast prace na obiektach
przy ul. Chelmońskiego
miały na celu
przyspieszenie budowy
tak bardzo potrzebnych
obiektów sportowych
Politechniki Wrocławskiej.

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn. 90/6 1/11

Miejsce złożenia

(r)



moje boje

Dokończenie ze str. 11

Do jednego i drugiego okazji nie brakowało. Okazało się, że mamy wspólne antypatie i zapiekłe porachunki do wyrównania. Tworzyliśmy wspólny front przeciw Anglikom i marynarzom francuskim z internowanej w Aleksandrii floty. Terenem potyczek był Top Hat Bar. Ale to już całkiem inna historia i temat do całej epopei.

W maju 1941 r. przetransportowano nas w rejon Marsa Matruh gdzie zluzowaliśmy oddziały piechoty australijskiej. Tu przeszliśmy dobrą szkołę pustynną, która miała nam się bardzo przydać w najbliższej przyszłości.

W sierpniu tego samego roku, Brygada transportem morskim, skierowana została do twierdzy Tobruk. Płynęliśmy pięknym nowoczesnym niszczycielem z prędkością pociągu pospiesznego. Jest to o tyle istotne, że w czasie tego rejsu przeszliśmy pierwszy chrzest bojowy: lotniczy atak torpedowy. Zaimponowały nam zimna krew, opanowanie i umiejętności kapitana i całej załogi. Torpedy minęły cel dosłownie o metry.

W Tobruku przywitali nas serdecznie, luzowane oddziały Australijskie. Poczęstowano nas herbatą z mlekiem (typowy angielski napój), co było dla nas pierwszym szokiem. Herbata miała wstętny słono-słodki smak i absolutnie nie nadawała się do picia. W twierdzy nie było słodkiej wody. — Druga ciekawostka, która nas zaskoczyła to „stojące koszu- le”. Koszu- le takie, przepocone i przesycone pustynnym py- łem można było ustawić na ziemi i nie zmieniały one swo- jego kształtu. W twierdzy obowiązywał zakaz prania ko- szul. Były one nasyczone DDT i gdy zostały z nich tylko szwy można je było wymienić.

Tobruk był zaopatrzonej najrozmaitszą bronią. Artyleria wszystkich kalibrów od angielskich 25-funtówek do włoskich dział fortecznych. Działa p-panc. polskie, francuskie, angielskie Vickersy, niemieckie Brauny i włoskie Bredy — wszystkie możliwe kalibry i systemy. Różnych rodzajów lek- kiej i ciężkiej broni maszynowej bez liku. Pola minowe oznakowane i nieoznakowane, zakładane przez Anglików, Australijczyków, Hindusów, Włochów i Niemców. Porusza- nie się w tym galimatiasie nie było rzeczą łatwą. Kto chciał przeżyć, musiał tą sztukę opanować.

Australijczycy wtajemniczali nas w arkana tej niecodzien- nej wojny. Taktyka i sposób walki były proste. Twierdza otoczona była punktami oporu oraz całym systemem pól mi- nowych i rowów przeciwpancernych. Co jakiś czas orga- nizowano wypad (taka sienkiewiczowska „wycieczka”) na włoskie punkty oporu. Po dokładnym rozpoznaniu, rozmino- waniu ścieżek w polach minowych i przygotowaniu artyl- eryjskim wyruszał na wypad pluton lub dwa a czasem cała kompania. Efekt był taki, że nasz patrol wracał najczęściej bez strat a Włosi musieli wymieniać całą obsadę. Ten spo- sób prowadzenia wojny był najekonomiczniejszy i najsku- teczniejszy.

Inaczej działali Hindusi. Stosowali oni metody indywidu- alne. Przechodził taki brodac ciemną nocą przez pole mi- nowe, bez żadnego ubezpieczenia, uzbrojony tylko w nóż. Wracał po jakimś czasie — z uchem, czasami z dwoma a jak dobrze poszło przynosił więcej. Liczyły się tylko lewe — po funkcje za sztukę. Business is Busines. Spotkałem takiego jednego Włocha w Rzymie. Był bez lewego ucha i miał pa- skudnie pokaleczone gardło. Typowy przykład brakorob- stwa — nie dorżnięty do końca. Mój Italianiec był jakiś dziw- ny, nerwowy i wiecznie zalekniiony. Nie mogłem pojąć dla- czego.

Było w Tobruku takie miejsce, cieszące się szczególnie złą sławą. Wzgórze Meduar. Nie było tam żadnych umocnień, tylko płytkie rowy. Odległość do stanowisk niemieckich bar- dzo mała, kilkadziesiąt metrów, na dobry rzut granatem. Obowiązywała tu niepisana umowa, przerywanie ognia na kilka godzin nocnych. Donoszono wtedy żywność i ewakuo- wano rannych. W dzień każdy najmniejszy ruch sprowa- dzał ogień broni maszynowej i strzelców wyborowych. Śmierć przychodziła tu najczęściej w sytuacjach związanych z cyklami fizjologicznymi organizmu człowieka. Były to z re- guły postrzały głowy.

Ludzie ginęli na wypadach, w czasie codziennych nalotów, w nawałach artyleryjskich i na polach minowych. Toneli ranni w czasie ewakuacji z twierdzy. Powoli przyzwyczaja- liśmy się do frontowej rzeczywistości. Śmierć stawała się czymś codziennym i normalnym.

W grudniu Alianci zmontowali z dawna oczekiwaną ko- lejną ofensywę. Niemcy wycofują się z perimetru Tobruku. Brygada zdobywa brawurowym natarciem Ein-El Gazale. Czołowe oddziały wypierały ciężką zapórę artyleryjską, dzięki czemu straty były stosunkowo niewielkie. Uczyliśmy się natarcia i pościgu — ruchomych walk pustynnych. Derna, Acroma Carmuset-el-Regem. Mechili to miejscowości wytyczające nasz pustynny szlak. Zgodnie z prawami rządzą-

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn.....

90/6/II



24.XII.1941 El-Gazala — pustynna Gwiazdka



1942 — El-Gazala — jeden z tych, któremu się nie udało

cymi walkami pustynnymi, ofensywa musiała się w końcu załamać. Brygada organizuje obronę pod Gazalą, gdzie po- nosi ciężkie straty na skutek zmasowanych nalotów lot- niczych. Zamknął się pełny cykl walk pustynnych: obłężenie, natarcie, pościg, odwrót i obrona. W marcu po przeszło rocznym pobycie na pustyni, Brygada została wycofana w rejon Aleksandrii na zasłużony odpoczynek.

Z polskiego liceum w Ploesti zostało nas niewielu. Ci co przeżyli mieli za sobą twardą szkołę życia. Przed nami sta- ły dalsze etapy drogi, której końca nie było widać. Jedno było pewne, że do Kraju możemy wrócić tylko z bronią w rękę. A broni jaką mieliśmy do dyspozycji było coraz więcej i była coraz lepsza. Trzeba było tę szansę wykorzy- stać. Wyższy szczebel wtajemniczenia wojskowego osiągnę- liśmy w Szkole Podchorążych w Beit-Jirji w Palestynie. Po iej ukończeniu otrzymaliśmy nowe przydziały już w ra- mach II Polskiego Korpusu. Po rocznym okresie poświęco- nym na organizację i ćwiczenia, które odbyliśmy w Iraku, Libanie i Palestynie. Korpus był gotowy do dalszych działań.

W grudniu 1943 r. wylądowałem na ziemi włoskiej jako kapral podchorąży, działonowy 6-tego działonu, 6-tej bate- rii 3-go Karpackiego Pułku Artylerii Przeciwlotniczej.

Opisanie wszystkich przeżyć wesołych i smutnych, tra- gicznych i śmiesznych zabrałoby za dużo miejsca i zanu- dziło czytelnika. Zrezygnuję więc z pisania o tym wszystkim.

Walka z wrogiem była podstawowym obowiązkiem obywa- telskim i żołnierskim. Za wyzwoleń Kraju i za prawo do powrotu trzeba było płacić. Płacili za to tą samą najwyższą cenę najlepsi z nas i najbardziej wartościowi. Pod Monte Cassino i pod Lenino, we Francji i w Warszawie. Płacili ją maquis, AK-owcy i AL-owcy. Dzięki nim i ja doszedłem do celu. I właśnie dlatego pisanie o tych czasach sprawia mi takie trudności i natrafia na takie opory. Stają mi wtedy przed oczyma wszyscy Ci, którzy nie doszli. Gromek, bia- łorusin spod Białegostoku, z którego nic nie zostało pod Monte Cassino. Zdziechowski, maturzysta z Ploesti rannv w Tobruku, pod Gazalą, pod Monte Cassino i nad Chienti. Wielokrotny dezertor z Ośrodków Zapasowych na front. Wy- krwawił się w sanitarce gdzieś między Anconą a 3 CCS. Zia- wia się Bocheński, o którym pisał Wańkowicz. I wielu, wielu innych, odważnych, koleżeńskich i pełnych poświęce- nia. Towarzyszy Broni.

Czuje się ich dłużnikiem. Spłacać ten dług powinniśmy wszyscy, tworząc taką Ojczyznę o jaką walczyli i jaką mieli przed oczyma. Ojczyznę wolną i szczęśliwą.

ANDRZEJ SZAYNOK

W POSZUKIWANIU TEATRU OTWARTEGO

Wojciech Kozak

Sygn. 90/6/11

(refleksje na temat IV MSFTO)

Wrocław zdołał się już przyzwyczaić do kolejnego z licznych festiwalu — Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Studenckich, aż tu nagle w tym roku, gdy nadeszła pora na IV MFSTS, okazało się, że impreza ta nosi już nazwę „Międzynarodowy Studencki Festiwal Teatru Otwartego”. Ktoś mógłby powiedzieć „pal sześć nazwę, nie o to przecież chodzi”. Faktycznie, gdyby „Jazz nad Odrą” przechrzczono na np. „Rock w Hali Ludowej” niewiele by to chyba zmieniło. W tym wypadku jednak zmiana nazwy była konsekwencją przemian następujących w samym festiwalu, w młodym teatrze w ogóle. Teatru będącym częścią działalności najbardziej ludzkiej — sztuki. A w wypadku „teatru otwartego” — „sztuki otwartej”. Dlaczego „sztuka otwarta”? Termin ten, zaproponowany przez Bogusława Litwińca, Dyrektora Generalnego wrocławskiego festiwalu teatralnego wyjaśnia sam autor: *Łączy (...) młodą sztukę (...) sposób jej bycia. Nie jest to sposób presji reklamowych czy systemu zadanych norm i wartości. Jest to sposób bycia otwarty. Otwarty przede wszystkim na uczestnictwo w tym co autentyczne, krwiste, doczesne i konkretne, co przypomina o sobie spoza kostiumu, w które zostało ubrane, co wyziera zza formy, chociażby najsprawniej ulepionej, co wreszcie obraca się tu, teraz, między nami i nie zamyka się w kaplicy boskiego odosobnienia. Sposobem tym młody artysta przekłada czas teraźniejszy, któremu pragnie towarzyszyć w jego stawianiu się nad gotowy, skończony czas historyczny czy kulturowy. (B. Litwiniec „Sztuka otwarta” — „Konfrontacje”).*

Konsekwencją tak przyjętej formuły sztuki otwartej, a więc i teatru otwartego, a więc i festiwalu była akceptacja stanu faktycznego, czyli obecności na festiwalu grup teatralnych nie mających wiele wspólnego (formalnie) z teatrem studenckim. Od lat tak się składało, że takie właśnie grupy wiodły prym na festiwalu, przemawiając swą sztuką najostrzej i najprzerzysiej. W 1969 r. był to „Bread and Puppet Theatre” kilkudziesięciuosobowa grupa wędrowna o „przekroju socjologicznym” oddającym praktycznie obraz społeczeństwa Nowego Jorku; w 1971 r. — „Performance Group”, również z USA, profesjonalny teatr kierowany przez znanego krytyka Richarda Schechnera. Z „niestudenckości” tych teatrów czyniono zarzut, mający umniejszyć faktyczny sukces. W tym roku organizatorzy zabezpieczyli się przed tym zmieniając tylko nazwę...

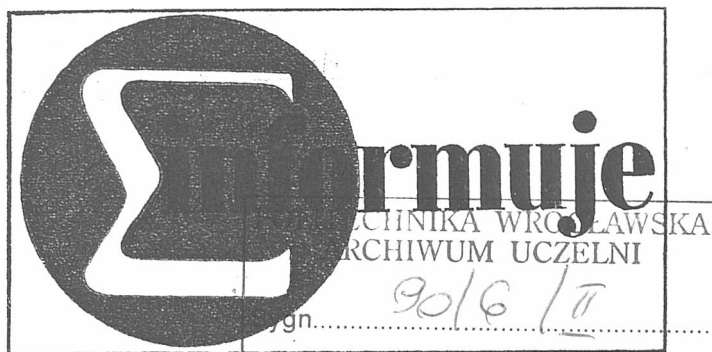
Tak więc, jak co dwa lata, zjechały do Wrocławia zespoły teatralne z całego świata — profesjonalne, półprofesjonalne i amatorskie — wyselekcjonowane przez organizatorów naszego festiwalu na wielu tego typu imprezach, odbywających się co roku na świecie. Jak zwykle, znaczna część oczekiwanych zespołów z różnych względów nie przyjechała. Oczywiście, nie wiemy czy i ile na tym straciliśmy, nie można też winić organizatorów, że liczba teatrów występujących na festiwalu stopniała do dwudziestki (powodem były często po prostu kłopoty finansowe — koszt przyjazdu jest dość wysoki), co i tak stanowi ilość wcale pokąsną. Jak było z jakością owej dwudziestki — o tym za chwilę. Festiwal otworzył występ gliwickiego STG z „Fabryką absolutu” według Czapka. Na kanwie doskonałego, ironicznego tekstu Czapka gliwiczanie zaprezentowali mieszankę różnych stylów do rewii włącznie, w sumie bardzo nudną, momentami wręcz niesmaczną, w dodatku „okraszoną” bardzo kiepskim aktorstwem. Początek był więc wielce niefortunny. A potem zaczęła się już codzienna gonitwa z sali do sali, ze spektaklu na spektakl, z nadzieją że może tym razem „to będzie to” — w poszukiwaniu teatru otwartego.

Najwięcej zainteresowania, a nawet sensacji wzbudził występ japońskiego teatru „Tenjo Sajiki Troupe”. Prawdopodobnie dzięki Bywalcowi („Polityka”) i Lucjanowi Kydryńskiemu („Przekrój”) opisującym występ teatru w Warszawie, jako sensację o posmaku skandalu. Trudno ocenić walory treściowe spektaklu (?), „Zapiski ślepca — przeklęty musical” — z prostych przyczyn językowych. Pomysł dramatyczny znany tylko z programu — dość ciekawy: analiza przyczyn upadku jednej fikcji scenicznej i narodziny drugiej. Sposób przekazania treści spowodował jednak, iż widowisko Japończyków stało się wydarzeniem czysto formistycznym. Jeżeli eksperyment w teatrze nie polegać na poszukiwaniu nowych, bardziej szokujących form wyrazu — Tenjo Sajiki odniósł ogromny sukces. Tyle, że sukces nie teatralny. Raczej cyrkowy. Teatr ich, wprawdzie pełen urzekającej sce-

nografii, rozgrywany na wielu scenach (widownia, balkony, scena tradycyjna), rozbrzmiewający piękną, stylizowaną muzyką, wykorzystujący osiągnięcia techniki (kwadrofonia, laser) pozbawiony jest jednak czegoś, co jest duszą teatru — aktorstwa, treści. A więc w sumie piękne wizualnie i muzycznie widowisko, ale puste i w gruncie rzeczy niewiele znaczące. Zupełnie inny teatr zaprezentowała grupa Triple Action Theatre z Londynu. TAT pokazał po prostu „Króla Leara” Szekspira. Jako jedynym środkiem wyrazu posłużył się aktorstwem. Jedynym dodatkiem — scenografią — były świece. „Król Lear” w tym wydaniu, choć nie bez dłużyzn wzrusza właśnie porywającym, prawdziwie nowatorskim aktorstwem, przejrzystością i prostotą (wprawdzie angielszczyzna epoki Szekspira jest trudna do zrozumienia, a w dodatku raz po raz w tekście pojawiały się wstawki celtyckie). Typ aktorstwa — zbliżony do koncepcji Grotowskiego — gry całym sobą, a raczej bycia całym sobą, obnażania się z wszystkiego, co jest grą właśnie. Prawdopodobnie było to największe osiągnięcie festiwalu (prawdopodobnie — gdyż nie miałem okazji zobaczyć uważanych za najdoskonalsze na tegorocznym festiwalu — kanadyjskiej „L’Homme” i duńskiej „Odin Teatret”). Spektakle obu zespołów dane było obejrzeć tylko nielicznym szczęśliwcom, którzy w jakiś sposób zdobyli bilety, ściśle limitowane i niedostępne dla większości uczestników festiwalu oraz akredytowanych dziennikarzy). Wysoki poziom wykonawstwa zaprezentowała również brytyjska grupa „Tangent”. Pomysł był ciekawy — koncert melorecytacyjny (dwa głosy i perkusja), z tekstem dość dowolnym, a momentami nawet nieco pikantnym, pod tytułem (adekwatnym do treści) „Historia Jazzu”. Czy jednak zaliczenie tego typu twórczości do teatru nie jest lekkim nieporozumieniem? Wydaje się, że muzyka staje się coraz częściej jednym z podstawowych środków wyrazu na scenie. I tak — widowisko teatru uniwersyteckiego z Szeged (Węgry), noszące n.b. tytuł „Petőfi Rock” i poświęcone węgierskiemu poecie rewolucyjnemu Sandorowi Petőfiemu — to, że ze szczerem zaangażowaniem odpiewany protest-song przeciwko uciskaniu ludu, przeciw niewoli społecznej i politycznej. Jest to spektakl momentami dość naiwny i niesprawnie technicznie, ale przejmujący żarliwością i zapalem wykonawców. Według założeń twórców „Petőfi Rock” nie kończy się, lecz jest powtarzany od nowa natychmiast po zakończeniu poprzedniego wykonania i tak non-stop, aż do momentu, gdy wszyscy widzowie opuszczą salę. Pomysł ten był zresztą przyczyną zabawnych nieporozumień — widzowie nie wiedzieli, o co chodzi, dlaczego mają oglądać jeszcze raz to samo. Oprócz Węgrów żaden z teatrów z krajów socjalistycznych nie zaprezentował spektaklu znaczącego, nie będącego powielaniem samych siebie lub tylko pseudoawangardowym bełkotem. Dlatego pomijam występy takich teatrów jak rumuński „Podul”, bułgarska „Studentina”, radzieckie „Studio ISK” oraz teatry polskie — „77”, „Ósmego Dnia”, „Pleonazmus”, czy nawet najbardziej wśród nich dojrzały — nasz „Kalambur”. Z innych teatrów należy wspomnieć bodaj o niemieckim „Freies” z Monachium, który zaprezentował spektakl „Po Brechcie”, będący właściwie kabaretem politycznym o wyraźnym wydźwięku antyhitlerowskim i to kabaretem o bardzo dobrym poziomie aktorskim. Na uwagę zasługują również portugalski „Teatro a Comuna” oraz argentyński „Grupo Once al Sur”, oba poruszające istotne problemy polityczne, społeczne i religijne swoich krajów.

Jak więc ocenilibym tegoroczny festiwal jako całość? Jest to zadanie dość trudne, ze względu na bardzo nierówny poziom tegorocznych produkcji teatralnych. Zauważa się jednak pewną prawidłowość — tam gdzie teatr jest rzeczywiście narzędziem walki, gdzie często prowadzi pracę na wpol nielegalną, znajdując się w opozycji, tam wyniki dążeń teatru są widoczne, choć często niedopracowane. Wyjątkiem jest londyński TAT, który poszedł raczej w kierunku doskonałości metody akorskiej i zaszedł w swych poszukiwaniach daleko. Inne, teatry, w tym również nasz, wykazują wyraźną stagnację, a nawet regres. Gdzie czasy „Spadania” czy „Jednym themem”? Czy może nasz młody teatr „zrobił swoje i może odejść”? Oby wrocławski festiwal, który z tego czym był, czyli przeglądu teatrów i platformy dyskusji stał się również warsztatem teatralnym (i bardzo dobrze!) i skłonił niektórych twórców naszego „teatru otwartego” do głębszych refleksji!

WOJCIECH KOZAK



Miejsce złożenia

Senat

Nauka

Pierwsze po przerwie wakacyjnej posiedzenie Senatu w dniu 24.IX. rozpoczęło się uroczystym pożegnaniem profesorów odchodzących na emeryturę: Zygmunta Szparkowskiego, Jarosława Kuryłowicza, Jerzego Teisseyre'a i Wiktora Wiśniowskiego. Na tym samym posiedzeniu Senat podjął uchwałę przyznającą medal „Za wybitne zasługi dla rozwoju Politechniki Wrocławskiej” profesorom: Igorowi Kisielowi, Adamowi Mitzelowi i Zbigniewowi Żyszkowskiemu. Omawiano także inaugurację roku akademickiego, plan pracy i inne sprawy bieżące.

Sprawy osobowe

Dnia 15 czerwca br. został powołany na zastępcę dyrektora Pionu Współpracy z Zagranicą — mgr Stanisław Gabiga.

*

Doc. dr habil. Jerzy Czerwonko powołany został z dniem 1.X.73 r. na stanowisko dyrektora Instytutu Fizyki Technicznej.

Sprawy organizacyjne

Dnia 13.X.73 r. Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN, Politechnika i Uniwersytet Wrocławski zawarły umowę, w wyniku której zostanie powołane we Wrocławiu podyplomowe studium w zakresie kriotekniki. Organizacją i techniczną obsługą studium zajmować się będzie Instytut Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów naszej Uczelni. Finanse pokrywają w równym stopniu sygnatariusze umowy.

*

W Instytucie Inżynierii Lądowej z dniem 1.X.br. rozpoczyna swoją działalność Studium Podyplomowe w specjalności budowa mostów.

Od czerwca br. działa uruchomiony w ramach programu WASC w Bibliotece Głównej i Ośrodku Informacji Naukowo-Technicznej Politechniki Wrocławskiej, zautomatyzowany system informacji o zakończonych pracach naukowo-badawczych i aktywności naukowej pracowników i zespołów badawczych Szkoły. System SINT/D zaprezentowany został na zjeździe rektorów szkół wyższych podległych MNSzWT oraz na seminarium Zakładu Systemów Informacyjnych, z udziałem przedstawicieli wszystkich ośrodków krajowych, dokumentujących zakończone prace naukowo-badawcze.

*

W pierwszej połowie bieżącego roku Politechnika Wrocławska skierowała do Urzędu Patentowego 99 zgłoszeń patentowych. W tym samym czasie udzielono Uczelni 15 patentów krajowych i 6 zagranicznych. Najwięcej — 10 zgłoszeń wpłynęło z Instytutu Metrologii Elektrycznej, po 9 przedstawiły instytuty: Technologii Budowy Maszyn i Układów Elektromaszynowych. Po 3 patenty krajowe przyznano na zgłoszenia pochodzące z instytutów: Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn oraz Telekomunikacji i Akustyki. W patentach udzielonych za granicę przoduje Instytut Technologii Organizacyjnej i Tworzyw Sztucznych.

Inne

Na Plenum KW PZPR w dniu 3.X. prof. Wacław Kasprzak omawiał udział wrocławskiego środowiska naukowego w przyspieszeniu rozwoju gospodarczego regionu wrocławskiego.

*

Z dniem 1 października br. w Bibliotece Głównej został wprowadzony system bezrewersowej obsługi czytelników korzystających z wypożyczalni.

Uroczystości

Z okazji Dnia Nauczyciela odbyło się w Politechnice uroczyste Plenum Rady Zakładowej, koncert, zabawa taneczna i liczne imprezy w Radach Oddziałowych ZNP. Rencistom przesłano życzenia i bony towarowe. 41 pracowników naukowo-dydaktycznych otrzymało za wybitne osiągnięcia naukowe i dydaktyczno-wychowawcze nagrodę Ministra Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Ponadto 2346 pracownikom przyznano nagrody Rektora. Złotą Odznakę Politechniki otrzymało 99 osób. Z tej samej okazji Rada Państwa przyznała 25 pracow-



nikom Order Odrodzenia Polski V kl. oraz 121 pra-

Sprawy socjalne

W okresie wakacyjnym br. z wczasów w Ośrodkach Politechniki skorzystało 1415 osób. W tym samym czasie w ośrodkach FWP wypoczywało ok. 150 osób. Ośrodek Wypoczynkowy w Uście przyjął na wczasy 794 osoby, a ponadto 117 pracowników i członków ich rodzin przebywającym na wczasach we własnym zakresie wydał 1510 posiłków.

*

Założone wiosną 1971 r. Spółdzielcze Zrzeszenie Budowy Domków Jednorodzinnych liczy obecnie ok. 100 członków. Dotychczas zrzeszonym udało się uzyskać lokalizację na 18 domków przy ul. Godebskiego i Bacciarrellego. Przewiduje się rozpoczęcie budowy w 1974 r. Trwają dodatkowe zapisy na członków Zrzeszenia reflektujących na domy jednorodzinne w rejonie Oporowa i Swojca oraz Wojszyc. Zgłoszenia przyjmuje ob. Janina Kozła w pok. 337 w gmachu głównym Politechniki. W gablotce Rady Zakładowej został wywieszony projekt budynku spółdzielczego.

*

cownikom Złoty Krzyż Zasługi.

Konferencje i seminaria

W auli Politechniki Wrocławskiej w dniach 18–22 września odbywały się sesje plenarne Międzynarodowego Kongresu Doskonalenia Nauczania Chemii, zorganizowanego przez UNESCO i PAN. W obradach udział wzięli przedstawiciele ośrodków naukowych z około 50 krajów.

*

Międzynarodowe sympozjum „Perspektywy zachodnioeuropejskiej integracji” zorganizował w Karpaczu w dniach 19–22.IX. Instytut Nauk Społecznych. W sympozjum uczestniczyli pracownicy nauki z Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier, ZSRR, NRD. Polscy uczestnicy reprezentowali środowiska naukowe Poznania, Szczecina, Warszawy i Wrocławia.

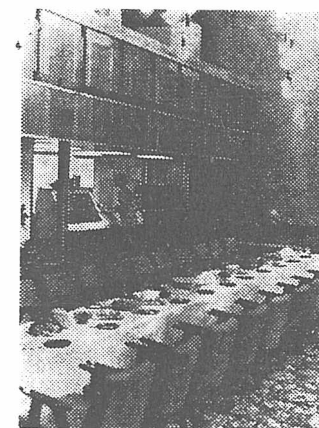
*

W Karpaczu w dniach od 17–21 września odbyła się konferencja dyrektorów instytutów i dziekanów, podczas której przedyskutowano węzłowe zagadnienia naukowe i dydaktyczne Uczelni oraz omówiono zadania na rok ak. 1973/74. Referaty wprowadzające w dyskusję zostały opublikowane w specjalnym wydawnictwie.

Rada Zakładowa ZNP i Pion d/s Socjalnych zorganizowały w dniach 9–18. X. w Ośrodku w Karłowicach dla 50-osobowej grupy rencistów, byłych pracowników Uczelni. Do dyspozycji rencistów został oddany autokar. Zorganizowano także specjalną wieczornicę z okazji Dnia Nauczyciela. Opiekunem grupy rencistów jest kol. Irena Rynkiewicz.

*

W Politechnice Wrocławskiej został otwarty w gmachu D-2 nowy klub dla pracowników i studentów. Trwa konkurs na nazwę klubu.



Fot. K. DUDEK

Notki informacyjne, które nie są sygnowane, pochodzą z biuletynu „Informacja Bieżąca” Politechniki Wrocław.

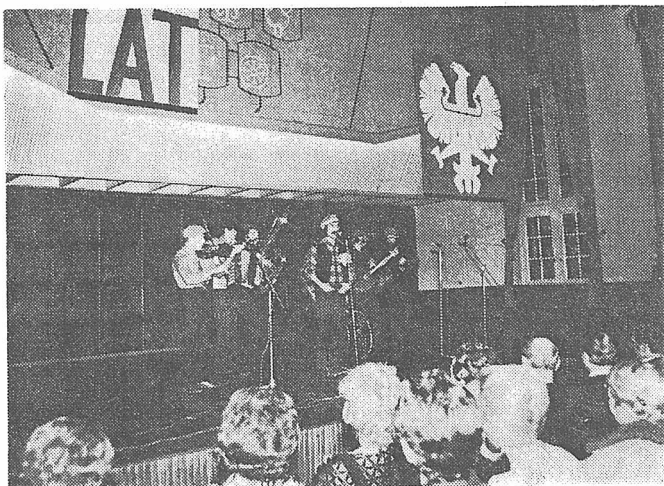
Dzień nauczyciela 1973

12 października odbyło się uroczyste plenarne posiedzenie Rady Zakładowej, w którym oprócz aktywu związkowego udział wzięli: JM Rektor prof. dr hab. inż. Tadeusz Porębski, I Sekretarz KU PZPR doc. dr inż. Alfred Dziendziel, przedstawiciel ZO ZNP doc. dr Stefan Kaleta, delegacje zagraniczne, przedstawiciele Studium Wojskowego Politechniki Wrocławskiej z pułkownikiem Józefem Wróblewskim i przedstawiciele wielu jednostek organizacyjnych naszej Szkoły.

Referat okolicznościowy, poświęcony roli nauczyciela akademickiego oraz nawiązujący do XXX-lecia Ludowego Wojska Polskiego wygłosił prezes Rady Zakładowej ZNP doc. dr inż. Henryk Zebrowski. Po referacie wręczono Złote Odznaki Politechniki Wrocławskiej, przyznane na wniosek Prezydium RZ. Otrzymały je kol. kol. Libusza Sewerowa z VSChT w Pradze, Helmut Lehmann z TU w Dreźnie, Marek Włodzimierz Barański, Zygmunt Galdzicki i Witold Komorowski. Następnie kol. doc. Stefan Kaleta wręczył Złotą Odznakę ZNP długoletniemu działaczowi związkowemu, kol. Kazimierzowi Steinowi. Ponadto z rąk prezesa RZ 80 aktywistów związkowych otrzymało dyplomy uznania i bony książkowe.

Po zebraniu plenarnym odbyło się w salach Klubu spotkanie towarzyskie przy lampce wina.

13 października na uroczystym koncercie w auli Politechniki Wrocławskiej wystąpili m.in.: Krystyna Borecka, Witold Prykosz, Tadeusz Kamberski oraz orkiestra



Fot. R. MAKOWSKI

podwórkowa „Walemany”, a w godzinach wieczornych bawiono się na balu nauczycielskim, zorganizowanym przez Radę Zakładową.

Ponadto w instytucjach oraz innych jednostkach organizacyjnych miały miejsce spotkania dyrekcji z pracownikami, na których wręczono odznaczenia oraz dyplomy uznania za długoletnią pracę zawodową i społeczną.

oprac: K. SOSIŃSKA

Komunikat Komisji Dyscyplinarnej

Przedstawiam kolejną listę ukaranych prawomocnym orzeczeniem Komisji Dyscyplinarnej i JM Rektora Politechniki Wrocławskiej:

1. Janusz Mużacz — student III r. Wydz. Mechanicznego — naruszenie regulaminu DS — kara nagany,
2. Zbigniew Drobiecki — student III r. Wydz. Mechanicznego — naruszenie regulaminu DS — kara nagany Kom. Odwoławcza,
3. Jan Nycnerski — student IV r. Wydz. Mechanicznego — naruszenie regulaminu DS — kara upomnienia,
4. Zbigniew Sawicki — stud. IV r. Wydz. Mechanicznego — naruszenie regulaminu DS — kara upomnienia,
5. Władysław Majewski — stud. V r. Wydz. Mechanicznego — naruszenie regulaminu DS — kara nagany Kom. Odwoławcza,
6. Jan Wilk — stud. V r. Wydz. Mechanicznego — naruszenie regulaminu DS — kara nagany,
7. Witold Koch — stud. V r. Wydz. Inż. Sanitarnej — sfałszowanie zwolnienia lekarskiego — kara nagany,
8. Waclaw Serwa — stud. III r. Wydz. Elektrycznego — nie powrócił do Kraju w terminie — skreślony z art. 72,
9. Lech Skórski — stud. I roku Wydz. Informatyki i Zarządzania — nie powrócił do Kraju z zagranicy — skreślony z art. 72.

Przewodniczący Komisji
Doc. dr inż. Mieczysław Mieczyski

Filia w Świdnicy

W dniu 1 października br. uruchomiono w Świdnicy przy ul. Towarowej 10 DOM STUDENCKI. Fundusze na wyposażenie DS wyasygnowały: Rada Narodowa Dzierżoniowa (300 tys. zł), Rada Narodowa Świdnicy (100 tys. zł) i Zespół Domów Studenckich Politechniki (100 tys. zł).

*

Na dorocznej wystawie techniki w ramach DNI ZIEMI ŚWIDNICKIEJ, Filia Politechniki w Świdnicy — decyzją środowiskowego NOT-u — uzyskała po raz drugi 7 miejsce. W ekspozycji wzięło udział 37 wystawców, w tym wszystkie czołowe zakłady przemysłowe regionu. Jury punktowało: ogólne wrażenie całości ekspozycji, zwieńżłość i komunikatywność informacji o działalności, oprawę plastyczną i oryginalność. Podsumowanie i wręczenie nagród odbyło się w Teatrze Miejskim z udziałem gospodarzy miasta i powiatu. Oprócz pucharu za zajęcie 7-go miejsca sekretarz Komitetu Powiatowego wręczył przedstawicielowi filii nagrodę specjalną za najdowcipniejszą wystawę.

Współpraca z zagranicą

Dnia 28 września w Instytucie Chemii Organicznej i Fizycznej prof. H. A. Staab z Uniwersytetu w Heidelbergu rozpoczął cykl wykładów pt. „Związki aromatyczne: eksperymentalny i teoretyczny rozwój koncepcji aromatyczności” oraz „Niektóre współczesne problemy stereochemii”.

*

Z wizytą w Komitecie Uczelnianym PZPR bawił w dniach 6-8.IX. dr Harry Meissner I sekretarz organizacji partyjnej Technicznej Uniwersytetu w Dreźnie.

Fot. R. MAKOWSKI



Sprawy studenckie

W dniach od 1 do 10 lipca odbył się w Nowym Dworze k/Warszawy I turnus Centralnej Szkoły Aktywu SZSP, w którym uczestniczyli aktywiści środowiska wrocławskiego. Odbyło się kilkanaście spotkań — dyskusji z działaczami politycznymi i młodzieżowymi. Bardzo interesująco wypadły zajęcia prowadzone przez wykładowców z Centralnego Ośrodka Szkolenia Kadr Kierowniczych.

*

Studenci dziennikarze od 2 do 8 września przebywali w Bierutowicach na obozie Studenckiej Wszelchnicy Dziennikarskiej. Efektem tygodniowego pobytu było m.in. opracowanie kolumny studenckiej w „Nowinach Jeleniogórskich”.

*

Około 300 aktywistów SZSP naszej Uczelni uczestniczyło w tegorocznej akcji szkoleniowej. Na Konferencji Aktywu w Karłowicach i Letniej Szkole Aktywu w Szklarskiej Porębie dyskutowano nad projektem programu działania SZSP, założeniami nowego modelu dydaktycznego, projektem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w sprawie rozszerzenia uprawnień samorządności studenckiej.

*

W dniach 8-13 października br. odbyły się Dni Wydziału Budownictwa Lądowego. Program obejmował wystawę prac dyplomowych, spotkanie studentów z pracownikami naukowymi, mecz piłki nożnej Naukowcy — Studenci, Bal Budowlanka.

Ponadto 20 października w ramach Dni odbędzie się w sali kinowej maraton filmowy.

*

21 października przybyła na zaproszenie RU SZSP Politechniki Wrocławskiej delegacja filmowców z Sofii. Wśród atrakcji oferowanych naszym gościom w czasie 6-dniowego pobytu znalazły się spektakle Festiwalu Teatru Otwartego, spotkanie z AKF-em, przegląd filmów. Odwiedziny te zawdzięczamy umowie zawartej z sofijską uczelnią techniczną.

W ramach tej samej umowy na zaproszenie AZS przybyli do nas 25 października sportowcy z Bułgarii.

c.d. str. 20

Wystawa sprzętu przeciwpożarowego w Politechnice Wrocławskiej

*
13 października 85 absolwentów Wydziału Budownictwa Lądowego odebrało uroczystie dyplomy ukończenia wyższej uczelni. Dyplom z wyróżnieniem otrzymał Jan Bień.

*
Ze ślizgawki na „Torpiasie” studenci Politechniki Wrocławskiej mogą korzystać w piątek w godz. 11.00–12.00

*
Basen przy ul. Łowickiej jest udostępniony dla studentów w poniedziałek, czwartek, piątek w godz. 11.00–12.00.

*
Miłośników tańca towarzyskiego zapraszamy do Klubu Energetyka przy ulicy Łowickiej. Działa tu Klub Politechniki Wrocławskiej, który również prowadzi naukę tańca. Zajęcia odbywają się w poniedziałek i środę w godzinach popołudniowych.

* Sygn. 90/6/12
Przypominamy, że biuro sprzedaży biletów na imprezy kulturalne i sportowe czynne jest codziennie (z wyjątkiem soboty) od godz. 13.15 do 14.30.

(-)

Kampania wyborcza SZSP w Politechnice Wrocławskiej

Zakończono drugi etap rekrutacji do SZSP w Instytutach. Wręczone zostały legitymacje członkowskie. We wszystkich instytutach przeprowadzono wybory do Rad Grup Działania. Natomiast wybory do Rad Instytutowych przebiegały w dwojaki sposób. W Instytutach gdzie jest powyżej 200 członków przeprowadzono wybory powszechne. Natomiast w Instytutach mniejszych wybory przeprowadzone zostały na walnych zebraniach członków SZSP.

Następnym etapem kampanii wyborczej były Konferencje Instytutowe, na których wybrano delegatów na Konferencję Uczelnianą. Konferencja ta odbyła się 17 listopada br.

(jc)

*
25 absolwentów Wydziału Budownictwa Lądowego otrzymało w dniu 13 października, z rąk dziekana Wydziału doc. Zdzisława Bodarskiego, dyplomy ukończenia wyższej uczelni. Dyplom z wyróżnieniem otrzymał Jan Bień, absolwent jednej z najtrudniejszych specjalności jaką są „Mosty”.

O trudzie studiów niech świadczy fakt, że ze 136 osób rozpoczynających studia przed pięciu laty do końca bez przeszkód dotarło zaledwie... 37 osób.

(jc)

Jak nie należy przyjmować delegacji zagranicznych

(czyli praktyczne wskazówki dla komisji zagranicznej RU SZSP)

- Drodzy koledzy!
- Jeżeli kiedykolwiek jeszcze będziecie przyjmowali studentów zagranicznych, pamiętajcie o tym, że:
- w przypadku gdy z przyczyn organizacyjnych nie można od razu dać im zakwaterowania, wypada zaprowadzić ich do kina, albo zorganizować wycieczkę autobusową po mieście z przewodnikiem. Autobus należy zamawiać z dużym wyprzedzeniem czasowym, w przeciwnym wypadku możecie dostać pojazd niesprawny. W żadnym wypadku nie należy organizować wycieczki pieszej, ponieważ goście mogą być po nieprzespanej nocy.
 - Należy zaproszonej delegacji zapewnić odpowiednie warunki sanitarne. Jeżeli w hotelu, w którym mieszkają wasi goście nie ma pryszniców, wskazany jest zaprowadzić ich do Łaźni Miejskiej. Znam członków Zespołu Pieśni i Tańca, którzy wiele daliby za możliwość wykąpania się po koncercie.
 - Jeżeli wśród zaproszonej delegacji znajdują się aktywiści organizacji, z którą współpracujecie, trzeba im umożliwić spotkanie z aktywem RU. Nie można natomiast organizować takiego spotkania w ostatni dzień ich pobytu, kiedy to goście myślą zwykle o czekającej ich podróży.
 - W dzień wyjazdu należy wyjeżdżającą delegację zapewnić autobus, który zawiózłby ją na Dworzec PKP.

RYSZARD WYPIJEWSKI

Akcja „Lato 73”

A nam
jest
szkoda
lata



Lato już niestety poza nami. Ale chyba warto wrócić do tego co działo się w środowisku studentckim w miesiącach letnich. A było tego sporo.

Zacznijmy od najatrakcyjniejszej formy spędzania wakacji — pobytu zagranicą. W sumie w różnych krajach europejskich przebywało 460 osób. Były to głównie praktyki robotnicze bądź naukowe, ale połączone ze zwiedzaniem i poznawaniem kraju.

Ach, iluż z nas chętnie załatwiłoby sobie drobny sprawnik na Polach Elizejskich, czy zaglądnęło na plac Pigalle... Ale do tego trzeba mieć odpowiednią średnią, znać dobrze język no i niegorsze „chody” w RU... Zresztą co tu mówić o Paryżu, chętnie wyskoczyłoby się do Pragi lub Budapesztu. A wybierać jest w czym, bo i Zachód i Wschód stoi przed nami otworem. Jednym słowem dla każdego coś innego.

Nie tylko my podróżujemy, bo i nas odwiedzają w ramach wymiany cudzoziemcy. W tym roku Rada Uczelniana przyjęła na swoje „łono” około 180 studentów. Hołubiono ich nadzwyczajnie. Dla nich to został po raz pierwszy otwarty Międzynarodowy Dom Studencki w DS T-3 i działat Interklub z bogatym programem.

Tak po cichu i na uszko, radzę wam koledzy już za miesiąc, dwa dyskretnie szukać znajomości i zacząć przebąkiwać o praktykach zagranicznych.

Ale także i ci, którzy skorzystali z obozów krajowych nie mieli chyba podstaw do narzekania. Zwykli śmiertelnicy mieli oferty od wyboru do koloru. Bo oferowano i obozy wędrowne i stałe, w górach, nad morzem i jeziorami.

Aktyw miał również pracowite lato. I tak w dniach 10–16.IX. odbyła się w Karłowie Konferencja Aktywu SZSP. Dyskutowano nad programami pracy poszczególnych komisji.

W ogóle wrzesień był miesiącem bardzo pracowitym. Zaraz po pobycie w Karłowie, nasz aktyw odpoczywał i szkolił się w Szklarskiej Porębie. W sumie przebywało tam 300 osób.

Oprócz obozów zorganizowanych przez RU SZSP studenci Politechniki brali udział w obozach zorganizowanych przez ZW SZSP. Skoro już o tym mowa, nie sposób nie wspomnieć o głównej kwaterze Letniej Szkoły Aktywu w Bierutowicach, gdzie od 2–15.IX. przebywało około 300 osób ze wszystkich uczelni Wrocławia.

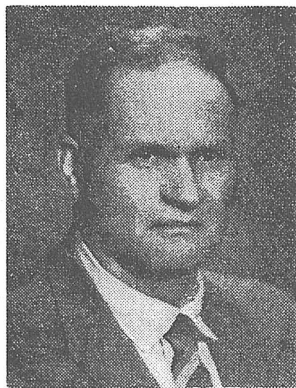
Z dumą muszę stwierdzić, że „nasi” wybijali się w każdej dziedzinie. Wprawdzie w komendzie było niewielu naszych ludzi (znów wepchnął się Uniwersytet), ale za to nas było słyhać najgłośniej.

Ale nie tylko do samych obozów ograniczała się działalność RU. Przez dwa miesiące, w sierpniu i wrześniu był czynny klub T-4 przeznaczony tylko dla praktyk robotniczych, gdzie starano się jak tylko można umilać czas wolny, sezonowym robotnikom.

A i potem nie zostawiono ich swojemu losowi, bo podczas Dni Wstępnych (27–30 września) opiekowało się nimi 90 osób aktywu.

Na ocenę Akcji „Lato 73” jest może jeszcze trochę za wcześnie, bo nie wszystkie informacje o obozach są kompletne, ale bez zbytniego ryzyka mogę zawołać: „brawo, koledzy”!

(HaWa)



Urodzony w roku 1905 w Krośnie, uzyskał w roku 1939 na Politechnice Lwowskiej stopień akademicki inżyniera mechanika. W latach 1930–1939 wykładał jako profesor w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki w Poznaniu. Stopień doktora nauk uzyskał w roku 1945 na podstawie zakończonej tuż przed wybuchem wojny rozprawy z dziedziny procesów spalania stałych materiałów wybuchowych.

Po wojnie osiedlił się we Wrocławiu i w roku 1946 objął stanowisko profesora nadzwyczajnego na Politechnice Wrocławskiej i kierownika Katedry Pomiarów Maszyn. W pierwszym, pionierskim okresie prof. Sasiadek brał czynny udział w istotnym dla normalnego funkcjonowania Politechniki, uruchomieniu kotłowni i instalacji centralnego ogrzewania oraz w usuwaniu szkód wojennych w laboratorium maszynowym. Jego dziełem było również uruchomienie koniecznej w owych czasach siłowni i nadzór nad jej ruchem. Zorganizowana przez Niego Katedra Pomiarów Maszyn stała się wkrótce ośrodkiem intensywnej pracy dydaktycznej i naukowej. Spośród licznej rzeszy inżynierów, uczniów Profesora, wielu zajmuje dziś odpowiedzialne stanowiska w przemyśle.

Działalność naukowa Profesora i stworzonego przez Niego zespołu była wszechstronna i sięgała od badań materiałów wybuchowych przez rozdrabnianie ciał stałych za pomocą sprężonego powietrza, technikę zwięzłą pomiarów natężenia przepływu, do automatycznej regulacji i sterowania.

Profesor pełnił trzykrotnie funkcję Dziekana Wydziału, był także aktywnym członkiem licznych towarzystw naukowych i rad naukowych instytutów uczelnianych i przemysłowych.

Profesor poza nauką i techniką interesował się sztuką, wykazując przy tym znajomość rzeczy i wiedzę.

Ogólnie lubiany, rozciągał dookoła Siebie przyjacielską i życzliwą atmosferę, która sprawiała, że ludzie chętnie z Nim współpracowali w Katedrze, a następnie w organizowanym i kierowanym przez Niego Instytucie. Był zwierzchnikiem nieformalistycznym, ludzkim i wyrozumiałym i to właśnie umożliwiało Jego zespołowi wydajną pracę i osiągnięcia naukowe.

Profesor Sasiadek wykształcił jako promotor 15 doktorów nauk technicznych. Wielu Jego wychowanków, to dzisiejsi profesorowie i docenci wyższych uczelni technicznych.

Wiadomość o śmierci w trakcie intensywnych przygotowań do aktywnego udziału w zagranicznej konferencji naukowej była dla wszystkich wielkim wstrząsem. Jest pewne, że długo będziemy pamiętać charakterystyczną postać Profesora, trwale związaną z historią Politechniki Wrocławskiej.

(—)

W ciszę wwierca się uporczywy dźwięk telefonu: *I-16 potrzebuje szklarza. Przyślijcie hydraulika — znowu zatkał się zlew. Janie Leonie — noga się przy biurku ułamała — co robić?* Teraz telefony rozdzwoniły się na dobre. Prawie nie widzę szans na przeprowadzenie choćby krótkiej rozmowy.

Pan Leon Joniec — kierownik sekcji konserwacji uśmiecha się blade: „Niech się pani nie przeraża — to jeszcze sezon urlopowy — prawdziwy cyrk będzie dopiero w październiku, kiedy Uczelnia zacznie pracować na pełnych obrotach. Wtedy mamy codziennie 50 do 60 interwencji. Przeważnie dotyczą one drobnych bieżących napraw, a czasem jest to małe S.O.S., kiedy na przykład woda zaleje jakieś pomieszczenie.”

— 50 do 60 napraw dziennie? — ależ do tego trzeba zatrudnić całe przedsiębiorstwo!

— Nie. Cała nasza sekcja zatrudnia 18 pracowników w tym: 7 hydraulików, 7 ślusarzy, 3 szklarzy i 1 osobę jako pomoc do sprzątania. Nie znaczy to, że jest to ilość wystarczająca. Ciągłe właściwie odczuwamy brak wykwalifikowanych fachowców, zwłaszcza stolarzy i hydraulików, ale przecież nie można załamywać rąk. Trzeba pracować!

Praca jest rzeczywiście trudna i niewdzięczna. Nie ma dnia żeby coś się nie zatkało, nie odpadło, nie zgubiło. To przerażające jak trudno jest niektórym ludziom przemówić do sumienia. A przecież wielu interwencji można by uniknąć. Wystarczyłoby powstrzymanie się od notorycznego wlewania fusów od kawy czy herbaty do zlewów, zamykanie okien z chwilą opuszczania pomieszczenia, ostrożne obchodzenie się z meblami...

Najtrudniej jest w zimie. Do „przepisowej” dawki telefonów dochodzą nowe interwencje w sprawie niedogrzańcia pomieszczeń. Jest to spowodowane niewydolnością kotłowni głównej, która nie jest w stanie jednocześnie ogrzać wszystkich podłączonych do niej gmachów, ale pretensje kierowane są do pana Jońca. Chcąc nie chcąc musi

STÓŁ Z POWYŁAMYWANYMI NOGAMI

on wysłać swoich hydraulików tylko po to, by po raz któryś z kolei potwierdzili wszystkim znany stan rzeczy. W warunkach, gdy pracuje się przy tak niskim potencjale ludzkim jest to prawdziwy luksus.

Do działalności jaką prowadzi grupa konserwatorska konieczne jest odpowiednie zaplecze techniczne, park maszynowy i przestrzeń — dużo przestrzeni. Przy trudnościach lokalowych jakie przeżywa obecnie nasza Uczelnia ten ostatni warunek wydaje się być nie-realny do spełnienia. Ostatnio nawet połowę warsztatu stolarskiego należącego do grupy konserwatorskiej zamieniono na magazyn papieru. Ludzie pracują w bardzo trudnych warunkach.

Mimo to roczny przerób grupy dochodzi do sumy 5,5 mln. złotych.

Pan Leon Joniec pracuje już 10-ty rok na Politechnice. Pobił tym samym wszystkie rekordy swoich poprzedników. Jest po prostu człowiekiem, który uważa, że trzeba pracować, nawet wtedy, gdy praca przypomina popychanie kamienia do góry przez Syzafa. Jego wielkim marzeniem jest do-czekanie chwili gdy grupa konserwacyjna otrzyma choćby najskromniejszy wóz pogotowia technicznego. Skończy się wtedy jeżdżenie tramwajami między Stadionem Olimpijskim a Studium Wojskowym, wypisywanie biletów, a wszelkie awarie będą mogły być załatwiane znacznie sprawniej i szybciej.

DOR

Fot. R. MAKOWSKI



Kierunek

liryka nowego sentymentu

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn. 90/6/17

Miejsce złożenia

JANUSZ STYCZEŃ jest autorem trzech dotąd wydanych tomików poezji: **KONTURY** (Ossolineum 1966), **LUSTRO-SOFISTA** (Ossolineum 1969) i **BOSKI PARAGRAF** (Ossolineum 1971) — przyjętych przychylnie przez krytykę, która w tej poezji dostrzegła symbiozę tendencji lingwistycznych i surrealistycznych. Jest laureatem nagrody „Ugrupowania Literackiego 66”, licznych nagród i wyróżnień w turniejach poetyckich. Poza twórczością poetycką uprawia nowelistykę oraz sporadycznie krytykę i publicystykę literacką. Działa aktywnie jako organizator spotkań autorskich w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej oraz w ruchu literackim KKMP przy Zarządzie Wojewódzkim ZSMW. Był członkiem — założycielem byłego „Ugrupowania Literackiego 66”. Niebawem nakładem wydawnictwa Ossolineum ukaże się jego czwarty tom poezji: **TEN NAJŻARLIWSZY SEANS SPIRYTYSTYCZNY**. W przygotowaniu tom opowiadań.

— Często spotykam się z opinią, że współczesna poezja nie znajduje czytelnika, a jej oddziaływanie jest tak nikłe, że poddaje się w wątpliwość sens wydawania książek poetyckich.

Co, Twoim zdaniem — zdaniem poety — powoduje niechęć czytelnika do czytania wierszy współczesnych poetów i czy widzisz jakiś sposób dotarcia do owego opornego czytelnika?

— Sprawa odbioru poezji we współczesnym społeczeństwie jest dosyć skomplikowana. Z jednej strony panują obiegowe opinie, że poezja współczesna jest niezrozumiała i nie ma na nią absolutnie żadnego zapotrzebowania w społeczeństwie; z drugiej strony są takie tomiki, które rozchodzą się błyskawicznie i okazuje się, że ich nakład jest niewystarczający. Na przykład tomiki Rafała Wojaczka rozeszły się od razu. Tomiki tzw. „poetów kontestatorskich” cieszą się dużą popularnością, a ich nakłady rozchodzą się też niezwykle szybko. Natomiast tomiki poetyckie prezentujące pewne przeciętne wartości zalegają w księgarniach.

Wydaje mi się, że bardzo cenną inicjatywą byłoby — na wzór innych krajów, np. Czechosłowacji — wydawanie wierszy na płytach, albo też wydawanie tomiku poetyckiego z dołączoną płytą, na której autor w sobie właściwy sposób recytuje wiersze.

— Owszem, jest to w pewnym sensie atrakcyjny sposób publikowania poezji, ale nie o to mi chodzi. To, że niektóre tomiki poetyckie rozchodzą się, jest zapewne spowodowane niskimi nakładami — sięgającymi zaledwie 1000, a w najlepszym przypadku (książki najwybitniejszych poetów) 3000 egzemplarzy — a przecież samych profesjonalistów — poetów, krytyków, filologów — jest znacznie więcej.

— Wydaje mi się, że tego typu zastrzeżenia wobec poezji pojawiały się zawsze w epoce, którą można by nazwać pozytywistyczną. Właściwie nasze czasy noszą cechy pozytywistyczne, bowiem akcentuje się głównie racjonalistyczną postawę wobec świata, a więc racjonalne rozstrzyganie problemów, istnieje kult nauk ścisłych, a także kult praktyczności życiowej — a zatem model konsumpcji, do którego wprawdzie jeszcze nie dochodzimy, ale zbliżamy

się poprzez rozwój gospodarczy kraju. To powoduje, że w szerokich kręgach społeczeństwa związanych blisko z techniką i przemysłem potrzeby poetyckie zupełnie obumierają, bo po prostu są niezgodne z modelem pozornie proponowanym przez epokę.

— Panuje dość powszechna opinia, że technicyzacja życia nie sprzyja rozwojowi zainteresowań humanistycznych. Często słyszę wypowiedziane przez ludzi techniki — zdanie, że wiersz w swoim obecnym kształcie jest formą zupełnie nieznosną, że poezja w ogóle nie jest w stanie niczego nowego powiedzieć o współczesnym świecie. Jak Ty zapatrujesz się na ten problem?

— Powiedziałbym, że technicyzacja życia tak unicestwia kulturę humanistyczną jak i jej sprzyja.

Ciekawe jest to, co możemy obserwować w krajach o silnie rozwiniętym przemyśle i gospodarce. W krajach tych powstała bardzo interesująca sztuka i to bardzo często sztuka zdecydowanie zbuntowana przeciw technice; to jest sprzężenie zwrotne: technicyzacja i kultura. Te państwa, czy też te narody, które tkwią w zacofanych strukturach gospodarczych, niestety nie prezentują zdecydowanie nowych wartości w sztuce. Jest to zjawisko bardzo ciekawe i bardzo skomplikowane, bo z jednej strony istnieją duże opory wobec sztuki i kultury humanistycznej wśród samych techników, ludzi związanych z przemysłem, z drugiej strony istnieją opory wśród samych humanistów wobec techniki. Następnie wśród technokratów wytwarza się jakaś — początkowo dziwna — potrzeba obcowania ze sztuką i uczestniczenia w kulturze humanistycznej — i jak powiedziałem poprzednio — są to sprzężenia zwrotne, które wzajemnie na siebie nakładają, a wynik nałożenia tych sprzężeń zwrotnych jest zawsze nieoczekiwany. Ale — moim zdaniem bardzo często wynikiem takich sprzężeń zwrotnych jest powstanie jakiegoś nurtu awangardowego w określonej dziedzinie sztuki.

— Czy znaczy to, że rozwój techniki sprzyja powstawaniu awangardowych nurtów w sztuce?

— Nie preferowałbym i nie wyolbrzymiałbym wpływu techniki na sztukę i kulturę humanistyczną, bo weźmy np.



Fot. S. POROWSKI

dwa kraje: USA i Szwecję. W USA niezwykle rozwój techniki i gospodarki wywrócił bardzo prężną i żywą sztukę, która reaguje na to wszystko, co ze sobą niesie rzeczywistość zewnętrzna a jednocześnie pozwala sobie na drażnienie w głębi. Natomiast Szwecja byłaby przykładem kraju, gdzie silna technicyzacja życia w jakiś sposób sztukę zużywa, a kulturę humanistyczną mocno osłabia.

— Niezupełnie pokrywa się to, co powiedziałeś z obserwacjami wielu specjalistów z dziedziny upowszechniania kultury. Może to i prawda, że rozwój techniki sprzyja powstaniu awangard w sztuce, ale sami ludzie techniki przedstawieni są bardzo niechętnie do jej wytworów, a raczej sięgają do modeli i wzorców klasycznych, o ustalonej renomie — czytają realistyczne powieści dziewiętnastowieczne i (przynajmniej u nas) poezję romantyków.

Jak wobec tego wyjaśnić ową sprzeczność między entuzjazmem w stosunku do awangardy w nauce i technice, a upartym lansowaniem tradycyjnego modelu humanistyki i sztuki?

— Ludzie techniki są rozdwojeni. Ja sam spotkałem chyba więcej takich ludzi techniki, którzy wymagali od sztuki

tradycyjnego ujęcia. Ale spotkałem i takich ludzi techniki, którzy w ślad za nowymi rozwiązaniami technicznymi, z którymi stykają się na co dzień, bardzo chętnie odbierają sztukę nową, która jest czymś nieustannie przeobrażająca się za tradycyjnym ujęciem, jeśnym; sztukę, która proponuje nowe wartości. Jednak większość z nich opoli chodzi o sztukę. Bardzo ciekawe jest to rozdwojenie.

— *Może zatem sami twórcy ponoszą winę za tę niedobłą sytuację w jakiej znalazła się współczesna sztuka, a współczesna poezja szczególnie. Może widzisz jakiś kierunek w obecnej poezji, który ma szansę przełamania tych oporów, i który w przyszłości trafi do odbiorcy?*

Aktualnie w poezji polskiej jest kilka szczególnie wyróżniających się tendencji. Z najważniejszych to neoklasyzm, poezja lingwistyczna, a ostatnio szczególnie hałaśliwie zapowiadająca się poezja konestatorska. Czy któryś z wyżej wymienionych kierunków ma tę szansę, a może widzisz jakiś inny kierunek, który posiadałby ową siłę, by dokonać zmiany w gustach czytelników?

— Obecnie najbardziej popularnym i posiadającym rezonans czytelnicy jest nurt kontestatorski, a to ze względu na przekazywane przez tę poezję pewnych treści politycznych, dotyczących aktualnych wydarzeń w kraju i na świecie. Ale nie uważam, aby ten kierunek najbardziej wybiegał w przyszłość.

Obserwuje się w tej chwili załamanie się poetyki lingwistycznej. Sądję, że poetyka lingwistyczna stworzyła już swoje najwybitniejsze wcielenia. Mam na myśli poezję Tymoteusza Karpowicza. Uważam, że Miron Białoszewski poprzestał w końcu jedynie na rejestracji pewnych absurdów w mowie codziennej, czy też w sytuacjach codziennych. Zabrakło w jego twórczości elementu kreacyjnego. Jeśli będziemy teraz obserwować młodą poezję, to zobaczymy, że jedni z lingwistów przechodzą do nurtu kontestatorskiego, jak np. Ryszard Krynicki i Stanisław Barańczak. Te narzędzia, które wykształcili terminując w poetyce lingwistycznej, okazały się im bardzo przydatne. Poetyka lingwistyczna zresztą przydała się jako wykształcenie sobie bardzo sprawnego i pojemnego warsztatu, który jest już nastawiony na wychwytywanie nowych treści, na tworzenie nowego modelu liryczności. Z własnego doświadczenia wiem, że terminowanie w poetyce lingwistycznej, czego owoce widać w tomie „Lustro-sofista” było bardzo przydatne. W „Boskim paragrafie” elementów poetyki lingwistycznej właściwie już nie było. Poetyka lingwistyczna była dla mnie terenem laboratoryjnym, który mnie niezwykle dużo nauczył o samej strukturze, warsztacie, konstruowaniu różnego rodzaju metafor — nauczył mnie po prostu dużej sprawności poetyckiej.

Obecnie obok wierszy kontestatorskich, które ukazują się teraz masowo i są pisane przez coraz to młodszych poetów, pojawiła się nowa tendencja, którą określiłbym jako propozycję nowej liryczności. Wystąpiła ona u Rafała Wojaczka. Dzięki niej odzyskano, wydawałoby się utracony na zawsze, teren poezji sentymentu. Ta dzisiejsza poezja sentymentu operuje innym, nowym językiem. Np. niektóre wiersze R. Krynickiego umieściłbym w tej tendencji.

Awangardowy model, który jeszcze

podtrzymywała poetyka lingwistyczna, ograniczył frazę poetycką. Posługiwano się tylko elipsą metaforyczną, zagęszczeniem metaforyki. Obecnie zauważa się odejście od tego modelu. Fraza w wierszach wydłuża się, a poeci nie boją się stosować pewnych określeń, które poprzednio uchodziły za niedobre. Używają określeń bardzo swobodnych, zdających w kierunku liryki nowego sentymentu. Zjawisko to możemy obserwować u wszystkich czołowych poetów młodego pokolenia.

Zaś neoklasyści, którzy przedtem wybrzydali na poezję lingwistyczną i chcieli ominąć ją bokiem, zostali z tego powodu bardzo wyraźnie w tyle. Wiersze neoklasyistów są staroświeckie i w strukturze, i w podejściu do języka.

— *Wskazałeś na pewną, dopiero krystalizującą się tendencję, którą nazwałbyś „liryką nowego sentymentu” — czy należy ją odnieść również do Twojej poezji? Czy Twoje poszukiwania też zmierzają w tym kierunku? A może dla swojej poezji wybrałeś jeszcze inną drogę?*

Krytycy często klasyfikują Twoje wiersze jako surrealistyczne z silnymi elementami ludycznymi — czy to też liryka nowego sentymentu?

— Oczywiście. Liryka nowego sentymentu mieści się w ludycznych formach sztuki, więc i mnie nie jest obca. Wiele swoich wierszy zakwalifikowałbym do liryki nowego sentymentu. Właśnie na obszarze liryki nowego sentymentu spełniają się te zadania poezji, które są odwieczne — nawiązują do Tajemnicy Istnienia.

Witkacy określił to bodajże w „Jedynym wyjściu” — mniej więcej tak: sztuka przede wszystkim powinna budzić w człowieku poczucie dziwności istnienia — i ja się z tą definicją Witkacego zupełnie zgadzam.

Liryka nowego sentymentu to dokonywanie zbliżeń i stworzenie pewnego lustra i przystawienie tego lustra do Tajemnicy Istnienia. I w tym widzę owocne nawiązanie do poetyki surrealizmu. Są przy tym jednak pewne nieporozumienia. Jedni krytycy uważają, że nawiązanie do surrealizmu powinno polegać na kopiowaniu figur poetyckich poetów surrealistycznych i na pisaniu poetyką *tz. écriture automatique* (pisanie automatyczne) i wydaje mi się, że tego typu nawiązanie do surrealizmu jest błędne: poeta jest skazany na kopiowanie, a nie na wytworzenie nowych wartości. Więc ja przypisując się do surrealizmu, chciałem nawiązać do pewnej koncepcji człowieka, którą głosili surrealiści. Oczywiście, myślę o koncepcji człowieka w bardzo szerokim sensie, gdyż z wieloma ściślejszymi określeniami tego modelu, proponowanego przez surrealistów, sam się nie zgadzam. Myślę tu po prostu o ludycznej koncepcji człowieka, to jest człowieka realizującego się poprzez zabawę, która jednocześnie jest poważnym obrzędem, a zarazem pracą.

— *Można się zgodzić z tym, że współczesna poezja ma w zasadzie te same obowiązki, jakie miała zawsze.*

Otwartą pozostaje kwestia formy. Współczesna poezja nie wytworzyła jednakże nowych wzorców — nadal obowiązuje model wiersza, który ukształtował się na przełomie naszego stulecia, kiedy nastąpiło zerwanie z tradycyjnym modelem wersyfikacyjnym, metrycznym, stroficznym i rytmicznym. Współczesne próby nawiązania do starych wzorców formalnych ponoszą na ogół fiasko.

Jak wobec tego widzisz dalszy rozwój formy wiersza? Nadmieniles o charakterystycznym wydłużaniu się frazy wiersza, od czego wg mnie tylko mały krok do kształtu prozy poetyckiej, a to wskazywałoby na prawdziwość wniosków niektórych teoretyków, że forma wiersza stała się mało nośna i nie sposób wyrazić w niej w pełni współczesnej problematyki?

— Nie, nie zgadzam się z tym. Sądzi, że obecny model wiersza przetrwa jeszcze bardzo długo, dlatego że model wiersza rymowego, rytmicznego i stroficznego trwał przeciwieście wiele stuleci i dopiero w początkach XX w. został „wywrócony”.

W chwili obecnej jest nam bardzo trudno określać przyszłość tego, czy innego modelu wiersza, ponieważ to, co nam się wydaje jakąś drogą rozwoju, w przyszłej epoce może okazać się strukturą chybioną, natomiast mogą powstać takie formy, jakich w ogóle sobie nie wyobrażamy. A może też być tak, że obecny model wiersza będzie trwał i trwać.

Obyś miał rację co do tego, że forma wiersza jest jeszcze na tyle nośna, że jest w stanie przekazać nowe problemy i nowe treści. Oby tendencja, którą nazwałbyś „liryką nowego sentymentu” propagującą model „człowieka ludycznego” wreszcie trafiła do przekonania współczesnemu czytelnikowi i zaspokoila jego pęd do zabawy...

— ...ale zabawy twórczej, która jest obrzędem i pracą, podczas której zaklina się Nieznane.

— *I żeby ta „twórcza zabawa” kiedyś zastąpiła stare, tradycyjne wzorce dydaktyczne i poznawcze, które swoje apogeum — przynajmniej w naszej literaturze — osiągnęły w poezji romantycznej.*

Może na zakończenie naszej rozmowy zaprezentujesz czytelnikom „*Stigmy*” jakiś swój wiersz, który będzie próbą realizacji aktualnych tendencji poetyckich.

ARCHIWUM UCZELNI

Rozmawiał: ERNEST DYCZEK

Sygn. 98/6/111
Wesoły kuliąg

zaraz po przyjeździe do zimowego kuli-
Miejsce złożenia rortu.....
moja walizka zasnęta ciężkim snem
— jestem czyjąś cichą żrenicą — szep-
nałem

papier moich wierszy całkiem biało
ziewnął
co mi się natychmiast udzieliło
i po tak jednym tchem dokonanej inte-
gracji

gdy zbliżył się wieczór
mój krawat przestał się wiązać
i rozwiązany w nocy został kwiatem
ciętym
(czarnym z jedną świecącą białą
kropką)

prawdziwie pachniał
wiedziałem: jestem czyjś szczerym
sercem

mój głos wewnętrzny zanucił:
— pajęczyna pajęczyna —
i aby osiągnąć całkowitą symetrię
nie czekając świtu
zupełnie już rozebrany
wyszedłem przez okno
i uniosłem się nad zimowym kurortem:
w powietrzu poczułem kim jestem:
czyjś zimnymi włosami
ach jakże zimnymi
ach jakże czyjś



Zamieszczane w tej rubryce teksty nie wyrażają stanowiska Redakcji. Postanowiliśmy jednak umożliwić twórcom i krytykom wypowiedzianie osobistych poglądów na tematy sztuki i kultury; sądzimy bowiem, że głosy te — z reguły polemiczne — wprowadzą pewne ożywienie w dyskusji o kształcie współczesnej twórczości artystycznej.

poezja aktem miłosnym

Nie umiem w poezji wyrażać wielkiej radości życia. Zbyt wiele do zrobienia w świecie, języku, człowieku, by wpadać w stan samozadowolenia czy ekstazy. Za obowiązek poetycki uważam kształtowanie świata, a więc gdy to konieczne negowanie i budowanie na nowo. Taki sam bunt powinien dotyczyć sfery języka. Jak giętki nasz język w tworzeniu neologizmów w prostym łączeniu rzeczowników, przecież skala tego samego zjawiska szeroka, różnooka. Różna „miłość”, różnoodwrotna „śmierć”. Wiedzą o tym nawet publicyści i ekonomiści tworząc „kursokonferencje” i „roboczo-godzinny”. Poeta ratuje się „czasoczarami” i „duchowskami”. Czy w analogiczny sposób można odnowić, odświeżyć CZŁOWIEKA. Istota chodząca w nowym języku i nowym świecie eo ipso staje się takąż. To właśnie język, bunt przeciwko zeszmacowanym formom czyni nas nowatorami. Bunt przeciwko wątpliwym stereotypom i jeszcze wątpliwym szkołom filozoficznym!

Nic tak nie godzi sprzeczności jak poezja. Pierwsza zgoda to unistyczne przenikanie świata, języka, człowieka (przedmiotu, podmiotu, języka). Druga zgoda to uniwersalizm procesu tworzenia i antynomizacja procesu poznania. Poezja tkwi nie tylko immanentnie w świecie, języku i człowieku, po to by została odkryta, ale i również po to, by nie została odkryta. Ostatnia zasada poezji to jej nieodkrywalność, niemożliwość przeniknięcia zjawiska określonego, do końca.

Kiedy rozpoczyna się wiersz, czy w ogóle ma swój początek. To tak jakbyśmy próbowali określić początek miłości, czy to było przysłowiowe pierwsze spojrzenie, pierwsze spojrzenie, pierwsze słowienie czy pierwsze dotknięcie. Prawdziwa poezja to pełny akt miłosny; z wybraniem partnera (w miłości nie chodzi o samogwałt), grą miłosną, spółkowaniem, finałem, wreszcie po określonym czasie owocowaniem. Niedobry to kochanek, uważający jedynie jeden z tych elementów za warunek sine qua non! Pełnię osiąga się poprzez scalenie i przy założeniu, że nie ma owoców bez bólu. Dla artysty potrafiącego umiłować człowieka, świat, język owocem staje się własny organizm poetycki — styl. W sztuce odwrotnie niż w życiu, mniej owoców, więcej poronień.

W chorym społeczeństwie miłość zastępuje się prostytucją, czystość kłó, w czasach odrodzenia nazywano to „chorobą dworską”. Kiedyś ktoś zastanawiał się, dlaczego mamy tak mało erotyków w poezji polskiej. Czy człowiek współczesny ma czas na pełnię, na wzajemne przeżycie siebie w akcie miłosnym. Socjologowie ubolewają nad miernym stanem liczbowym naszych rodzin. A rodzina poetycka — liczna. Ależ to nędzarze żyjący z kubłów na śmieci. Z kubłów, do których już wyrzucono a jeśli nie, to wkrótce tak będzie, nie tylko Kasprowicza, ale i Przybosa, nie tylko Wierzyńskiego, Tuwima, Gałczyńskiego ale i Brylla, Haraśmowicza, Grochowiaka i częściowo Różewicza. Niewiele da się ocalić ze sztuki. Jeszcze mniej z życia. To co po nas zostanie, to OWOCE: „po owocach ich poznacie ich”. Pełny akt miłosny to taki, w którym ani świat, ani język, ani my nie będziemy w stosunku do siebie. Będziemy po prostu sobą, a więc układem twórczym zorientowanym na nowe dzieło, które za nas będzie mówiło, gdy zamrą usta.

Lingwistyka nie posunęła się za grę miłosną w języku. W „Odwroconym świetle” Karpowicz próbuje „kopulować” ze światem ale czyni to przez kalki i przy pomocy matematycznych i logicznych rafurek. Może na tym polega poetycka prawda, na nazywaniu rzeczy po imieniu, na niemożliwości pełnego aktu miłosnego, trudno burdel nazywać małżeństwem doskonałym! Neoklasyści posunęli się bodaj dalej w grze miłosnej, ale spółkują z antycznymi mumiami. Mała szansa na owoce! A teraz jeszcze bardziej zgryźliwa uwaga: pokażcie mi prawdziwego poetę. Ma odpowiedni warsztat poetycki miłości, to brakuje mu zębów (mleczne wypadły, a ludzkie nie urosły, pominę nieliczne w Polsce sztuczne szczęki, u młodych poetów, na skutek wypadków losowych).

Jednego pragnę nauczyć się od natury — miłości. Jedno pragnę odebrać poezji — śmierć. Mogę tysiąc razy kochać, a nie uwierzę w nią! Godzę się z musu, że to sztuka nieodkrywalna nie-namacalna. Nadzieja w owocach, może z tych poronionych wyrosną wiersze o kalekich ciałach, ale zdrowych wnętrzach. Przegrałem ze światem, językiem, człowiekiem, sobą? Również świat, język, człowiek, alter-ego, przegrali ze mną. Jestem przecież niepow-

tarzalny w miłosnym akcie. Wiedzą o tym moje Ukochane... Wiersze.

Czy Peiper przez „poemat rozkwitający” rozumiał pełny akt miłosny, czy tylko eksperymentalne rozkwitanie na chybił trafił. W każdym bądź razie jego teoria poezji, zbliża się metaforycznie, do pełnego aktu miłosnego! Odkrywanie nowego świata przez nowe usta. Poszukiwanie nowego człowieka! Wszyscy poszukujemy poezji, ale znajdując ją tylko ludzie pełni. Jednocześnie w czasie i przestrzeni, miłości i śmierci. Wyważający poprzez język ontologiczne i epistemologiczne antynomie.

Słowo w stronę absolutu: z prochu powstałem i w miłość się obrócić! Ja — człowiek! Od początku świata poszukujący miłości, wątpiący w śmierć. Od początku świata poszukujący sensu miłości — poezji!

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI
HENRYK WOLNIAK
90/6/11
Sygn.....
DEBIUTY
Miejsce złożenia

Swoje ogrody
umiściłam
w strefie bezimion
na głębokość okaleczenia
najgłośniej bolały
wyszarpane neuronu ciszy
przeznaczone w tarniny
na wieczne splątanie
(72)

przemijamy w trwaniu żółtych liści
nabrzmiące drzewa godzin
niepokoją nas swym ciężarem
zegary czasu milkną w bezgłosie
(72)

liści tak wiele, że można w nie uciec
i słowa ugrzęzły gdzieś w szeleście
czy bliskim być
znaczy — dalekim?
(71)

DANUTA KARPİŃSKA

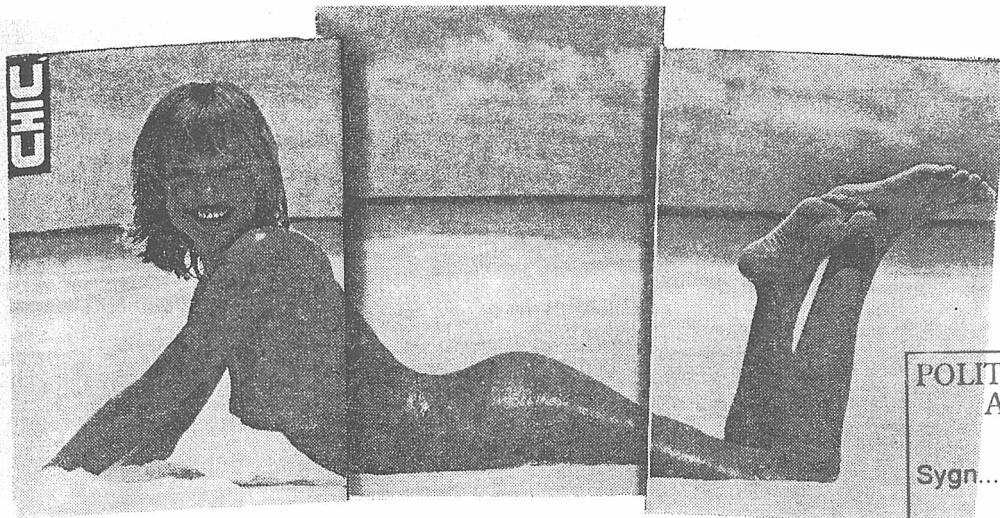
Codziennność

Żelazo blachą obilem
fotel wygodny
stawy w kończynach naoliwiłem
zjadłem ślubki z łbem kulistym
popilem kwasem siarkowym
i pełny bez głodu
usnąłem
wstałem o godzinie
za rok
zjadłem śniadanie
suche drewno z olejem
żywicę wędzoną i popilem
powietrzem natury
kluski z promienia
słonecznego
były smażone

Przeciw — ucałowanie

roza zbiegła się z wiśnią
na przegubie uczucia
dostosowując swój smak
przeciw — ucałowaniu
napicie dnia i nocy
wyrównało się ze szczytem
jutra
podziwiając wczorajszy
sierp
ucałowania

ROMUALD RATYŃSKI



dziew czyna

Z

plaży

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn.....

90/6/1

Miejsce złożenia

Andrzej Wiewióra

W czasie pracy nad filmem poznałem dziewczynę z którą, w deszczowe dni prowadziłem długie rozmowy. Dziewczyna pewnego dnia zniknęła. Pozostało tylko po niej kilkanaście metrów taśmy ze sceną czołgania się jej przez plażę w stronę morza.

— Jestem zmęczona — Jestem zmęczona sobą — Boję się — Chciałabym krzyczeć żeby odeszły wspomnienia — Jestem chora: mam gorączkę boli mnie głowa, nerki — Jest mi zimno — Chcę spać.

Tam padał śnieg, deszcz, świeciło czasem słońce. Długie, pełne milczenia godziny nie dawały odpowiedzi na pytania stawiane przez różnych ludzi.

Na plaży zerwany wiatrem piasek dziobał jej twarz. Ona jednak spała. Czy potrafi jeszcze mieć sny?

— Przecież byłam kiedyś bardzo szczęśliwa.

Na sali zapadło milczenie. Wszyscy znacząco spojrzeli po sobie.

— Trudno być sędzią cudzego sumienia. Sądźcie moje postępowanie, a ja żyłam zgodnie z własną moralnością.

Kilku młodych ludzi gwałci dziewczynę na pół przytomną.

— To nieprawda! Nigdy w to nie uwierzę.

A jednak zostałaś zgwałcona! Wykazało to badanie ginekologiczne.

— Co z dziewczyną? Co z jej wnętrzem?

Zapomniałaś już o wyjeździe do innego miasta. Po co wyjechałaś? Czy po to żeby „wyjść na ulicę”?

— Słyszałam wszędzie, że jestem dziwką, kurwą a dolary.

Co jeszcze wyszłaś? Bo to co mówisz zaczyna być interesujące. Na pewno przesiadywałaś w „SKANPOLU” a może hotele ciebie nie interesowały?

— Tak mówili w moim mieście i dlatego musiałam wyjechać.

Piasek zasypał już pół ciała a do rana było jeszcze bardzo daleko. Jedyna nadzieja w wodzie, że potrafi dotrzeć i zmyć piasek. Współpracowałaś podobno z filmem?

— Tak. Miałam kilka epizodów. Była to chyba moja najciekawsza praca. W ostatnim musiałam przeczłgać się przez całą plażę, aż do brzegu morza. Było piekielnie gorąco a reżyser nie był z mojego czołgania zadowolony, musiałam powtarzać tę scenę wiele razy.

Jak dostałaś się do filmu? Nie skończyłaś przecież szkoły aktorskiej.

— Grałam tylko w filmach mojego przyjaciela. Były to tylko epizody.

Więc zarabiałaś na życie w inny sposób? Zajmowało ci to mało czasu i przynosiło nieźle dochody. Jesteś przecież ładną dziewczyną.

Uniesiona podmuchem wiatru fala dotarła do włosów, obmyła je delikatnie, oczyściła je z piasku. Czy dotrze także do jej ciała.

— Pracowałam w bibliotece.

Odeszłaś stamtąd jednak bardzo prędko, na pewno mało ci płacili.

— Nie podobałam się tam, byłam za ekstrawagancka, kiedyś podsłuchiłam, że mam niesympatyczną twarz. To chyba zadecydowało, że zaczęli szukać pretekstu. W końcu znaleźli. Poczęstowałam w czasie pracy kolegę resztą składkowego wina, to im wystarczyło.

Ludzi nienawidziłaś już wcześniej. Po zwolnieniu z biblioteki zaczęłaś myśleć o zemście.

— Chciałam wyjechać nad morze i zapomnieć o wszystkim.

Pomału nadchodzi sztorm, woda unosi głowę i opuszcza ją z powrotem. Wygląda to, na oczekiwanie. Na co ona może czekać?

Spotkałaś go nad morzem, później łąziłaś za nim przez cały dzień. Chciałaś wiedzieć gdzie mieszka, z kim się przyjaźni. Poznawałaś go z wielką pedanterią tak jak nikogo przedtym. W końcu się zdecydowałaś, czekałaś tylko na dogodny moment.

— Widziałam go tylko z daleka, potem zginął w tłumie. Nie starałam się go odszukać. Znałam go tylko z widzenia, nigdy z nim nie rozmawiałam.

Musiałaś się spieszyć, mógł przecież wyjechać i nigdy byś go nie spotkała. Poszłaś wieczorem za nim na plażę, kiedy wybrał się na samotny spacer. Potem rano znaleziono ciało. — Nieprawda, on nic złego mi nie zrobił, nie miałam powodu żeby go zabić. Chciałam być sama, z dala od ludzi i dlatego poszłam wieczorem na plażę.

Ciało dziewczyny jest już czyste. Powoli nastaje świt, już z daleka można ją dostrzec leżącą do połowy w wodzie. Jej upragnioną samotność przerwie wkrótce tłum gapiów zebranych nad miejscem gdzie woda dotarła do ciała.

ANDRZEJ WIEWIÓRA

PRZEBŁYSKI

Henryk Jagodziński

Przeblyski
I matematycy bywają nieobliczalni.

*

Jeżeli układanie planu pracy zajmuje ci cały czas pracy, pracuj bez planu.

*

Zalóżmy wreszcie Urząd Miar do mierzenia sił na zamiary!

Na mikrobiologa też można popatrzeć przez lupę.

*

Cóż za rozrzutność: na jednego mieszkańca globu wypada 80 ton trotylu.

*

Także chemicy wchodzą w związki niestałe.

*

Ziemia jest kulista? Być może — nie turlałem!

Każdy student nosi tęgo profesora w teczce. W końcu zostaje mu teczka.

*

Jeśli nie wiesz, co mówić na egzaminie, przynajmniej przytakuaj.

*

Tolerancja błędu, to jest dopiero tolerancja.

*

Mój dowód na przystawanie trójkątów: tu jest równo, tam jest równo, dlatego nie miałyby przystawać?!



Wizerunek I: Wzór Pascala

Wczytując się w *Wzór Pascala*¹⁾, zauważamy dwa przewodnie motywy — Bóg, materia. Motywy te, przewijające się często przez ostatnie wiersze B. Antochewicza, można określić mianem jansenizmu.

Z jednej strony mamy Boga i jego synymy: ELI, siewca, Nieznany WIELKI FORMIERZ — z drugiej, stojące w opozycji: tajemny obłok życia, inna harmonia, chaos bezimienny, TAMTEN las, chaotyczna jawa. Kluczem jest tu niewątpliwie rozdział dokonany przez Blaise Pascala: rozum — wiara.

Umiejscowienie jansenizmu B. Antochewicza jest możliwe tylko poprzez ogarnięcie motywów (Bóg, materia) na przestrzeni całej książki — aby poznać wszystkie znaczenia i symbole z nimi związane, należy prześledzić całą zawartość tomiku — takie widzenie wierszy stanowi o dotarciu do punktu wyjścia: *Wzoru Pascala*.

Równoległym motywem, do wyżej wspomnianych, jest motyw „gwiazdy”. To nie przypadek, „gwiazda” (wymienienie „światła”) jest dla B. Antochewicza — swoistą imienniczką poezji — poezja jest nieśmiatym zbliżaniem światła. Profil *Wzoru Pascala* stanowi pozaczasowość, nie zawierający jednak znaczeń utajonych.

Tajemnicą istnienia książki jest nadświadomość wierszy, znajdująca potwierdzenie w całości metaforyki.

Wizerunek II. Wniebogłosy

Autor *Wniebogłosów*²⁾ wyszedł od poezji rzeczy, jego pierwsza książka (*Dochođenje do gruski*) była opisem jednoznaczności — ówczesne wiersze stanowiły przyczynek do nowego oblicza poezji.

Zerwanie ze szkołą reistów (*Poza tamto*) przeniosło St. Chacińskiego do doświadczeń poetyki Karpowiczowskiej, co oznaczało przejście jej językowych „chwytów”. Wówczas doszło do głosu myślenie konkretem. Te wiersze cechowało „urzeczwienie”.

Ostatnia książka St. Chacińskiego zawiera wiersze w sytuacji ruchu. Dokładniej mówiąc — najnowsze postępowanie lingwistyczno-obrazowe *Wniebogłosów* jest dozą płynności i wieloznaczności. Tomik zawiera wiersze współistniejące na motywach „panta rei” — obrazy i metafory przybierają kształt fal wzajemnie się nakładających. Poeta operuje konkretem zmysłowo sprawdzalnym, wszystkie symbole i znaki są podporządkowane argumentowi niepodzielności.

Novum *Wniebogłosów* stanowi rzeczywistość odwołująca się do doświadczeń ogólnoludzkich (cykl „Legendy”).

Analizując całość dokonanych poetyckich autor *Wniebogłosów* można nazwać St. Chacińskiego poetą — ekstrawertykiem. St. Chaciński na pewno pozostanie nim do końca.

Tegoroczny sezon poetycki przyniósł cztery interesujące książki. Każda, z omawianych pozycji, zawiera głębokie przeświadczenie o konieczności własnego istnienia. Poszczególne książki, zawierają — próbę jansenizmu (Antochewicz), zjawisko „panta rei” (Chaciński), gamę uzwyczajnienia (Jodłowski) i — figurę „kropli” (Kortyka).

Książki zawierają wiersze wyrównane, jednorodne stylistycznie, posiadają ambicję poznawania rzeczywistości.

Fot. J. SAMOTUS

Wizerunek III: Osad

*Osad*³⁾ to debiut — zjawisko autoironii i „uślawienia” całej ludzkiej egzystencji. To „Uślawienie” jest konsekwentnie podważane motywem urzeczwienia człowieka — sztydzi z fragmentaryczności jego życia.

Najczulsze narzędzie poetyckie autora *Osadu*, zarysowane mocnymi obrazami, spoczywa na analizie zjawisk otaczających poetę. Płaszczyna jedności myślowo-uczuciowej jest podbudowana archetypami życia codziennego.

Poprzez wyrazistość logiki wewnętrznej wierszy M. Jodłowskiego widzimy całą gamę uzwyczajnienia. Poeta konkretnie i przekonująco przedstawia wizję dnia powszedniego.

Autentyczna wiedza o otaczających nas bólach („spadam widzę przyjaciół”, „Z notesu przyrodnika”, „Rysopis”) i głęboka refleksja wynikająca z „wtajemniczenia” w etykę ogółu społeczności, czyni z tomiku M. Jodłowskiego książkę dobrze opracowaną, a jak na debiut — książkę znaczącą.

Wizerunek IV: Czerwień studzienna

Wybitnie eksponowanym słowem w *Czerwieni studziennej*⁴⁾ jest słowo „kropla”. (...) *przestrzeń od kropli do warstewki pyłu pod palcami* (...) — „Kwadrat czerwieni”; (...) *Jest lampka ale kropli tkwiącej najgłębiej* (...) — „Z martwego języka”; (...) *Martwe Słońce Kropli* — („Naczynie”); (...) — *a to kropli lampka Zbliżona do ust* (...) — „Czerwień studzienna” — itp.

„Kropla” to słowo — klucz, stanowi ono punkt wyjścia *Czerwieni studziennej*, osobiwą wyrazistość książki. „Kropla” wskazuje na wrażliwość — jest niejako ocaleniem tego, czego nie można w żaden inny sposób utrwalić, jak tylko w obrazie poetyckim.

Droga „Kropli” od jej zamysłu wywołującego akt poetycki, do punktu dojścia — jaki ten akt ma przed sobą — jest bardzo krótka, ona właśnie organizuje lirykę pełną napięcia, charakteryzującą się aktywnym stosunkiem do języka.

Wiersze — obrazy St. R. Kortyki, obrazy uszeregowane, obrazy „pojęciowe” („Naczynie”, „Apokryf”, „Z wróżb”, „Do mlecznego punktu”), wyrastają z kolejnych, następujących po sobie ogniw. Są to przeważnie unaocznione wizje.

Natura estetyczna wierszy St. R. Kortyki jest przykładem wewnętrznej spójności (kształt nadaje jej właśnie wielokrotne powtarzanie słowa „kropla”).

Świat autora *Czerwieni studziennej* to istniejący między wierszami-obrazami świat postrzegalny, objawiający się w ich wewnętrznej materii.

BOGDAN KAMIL WARWAS

1) Bernard Antochewicz, *Wzór Pascala*. Wrocław 1973. Ossolineum, s. 112

2) Stanisław Chaciński, *Wniebogłosy*. Wrocław 1973. Ossolineum, s. 51.

3) Marek Jodłowski, *Osad*. Katowice 1973. „Ślask”, s. 57.

4) Stanisław Ryszard Kortyka, *Czerwień studzienna*. Wrocław 1973. Ossolineum, s. 70.

GRA w zabijanego

Nieczęsto zdarza się, żeby sztuka już w trzy lata po swojej prapremierze zawitała na deski naszych teatrów. Tak właśnie stało się w przypadku *Gry w Zabijanego* — Eugène Ionesco wystawionej w tym sezonie przez Teatr Polski.

Katalizatorem było zapewne nie tylko nazwisko wielkiego dramaturga, ale kontrowersyjne dyskusje, jakie *Gra w Zabijanego* wzbudziła w całym teatralnym świecie. W sztuce, w przeciwieństwie do wcześniejszych dzieł Ionesco, brak surrealistycznych widziadeł, zaskakujących skojarzeń, jest ona ściśle przyporządkowana jednemu tematowi — śmierci.

reżyserowanie przedstawienia powierzone Henrykowi Tomaszewskiemu — i to było chyba najszcześniejsze pociągnięcie dyrekcji Teatru Polskiego. Prawdopodobnie nikt lepiej nie potrafiłby tego zrobić niż twórca *Pantomimy Wrocławskiej*.

Sama sztuka jest zbiorem luźnych scenek przedstawiających reakcje ludzi w obliczu śmierci. Problem nadania przedstawieniu monolitycznej jedności, ekspresji i dynamiki — to już sprawa reżysera. Tomaszewski wywiązał się z tego zadania. Do galerii postaci przewidyjanych przez autora wprowadził jeszcze jedną — ŚMIERĆ. Jest ona wszechobecna. Przewija się przez całe przedstawienie, zaprasza do swego obłądnego tańca. Ten taniec śmierci sprawia, że wszystko wiruje i skacze — pełne ekspresji i dynamiki.

W roli śmierci wystąpił Erwin Nowiaszek będący jednocześnie asystentem reżysera. On nadał ton całemu przedstawieniu, nie tylko ze względu na to, że stanowił niejako postać cen-

tralną. Był po prostu najlepszy z całego zespołu. Dawno już widzowie nie mieli okazji oglądać Nowiaszka w tak znakomitej formie. Wydaje się, że w tej roli znalazł możliwość pełnego wypowiedzenia się. Pokazał się też jako znakomity mim.

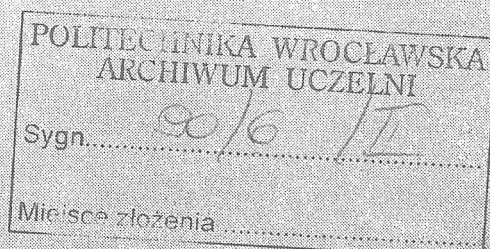
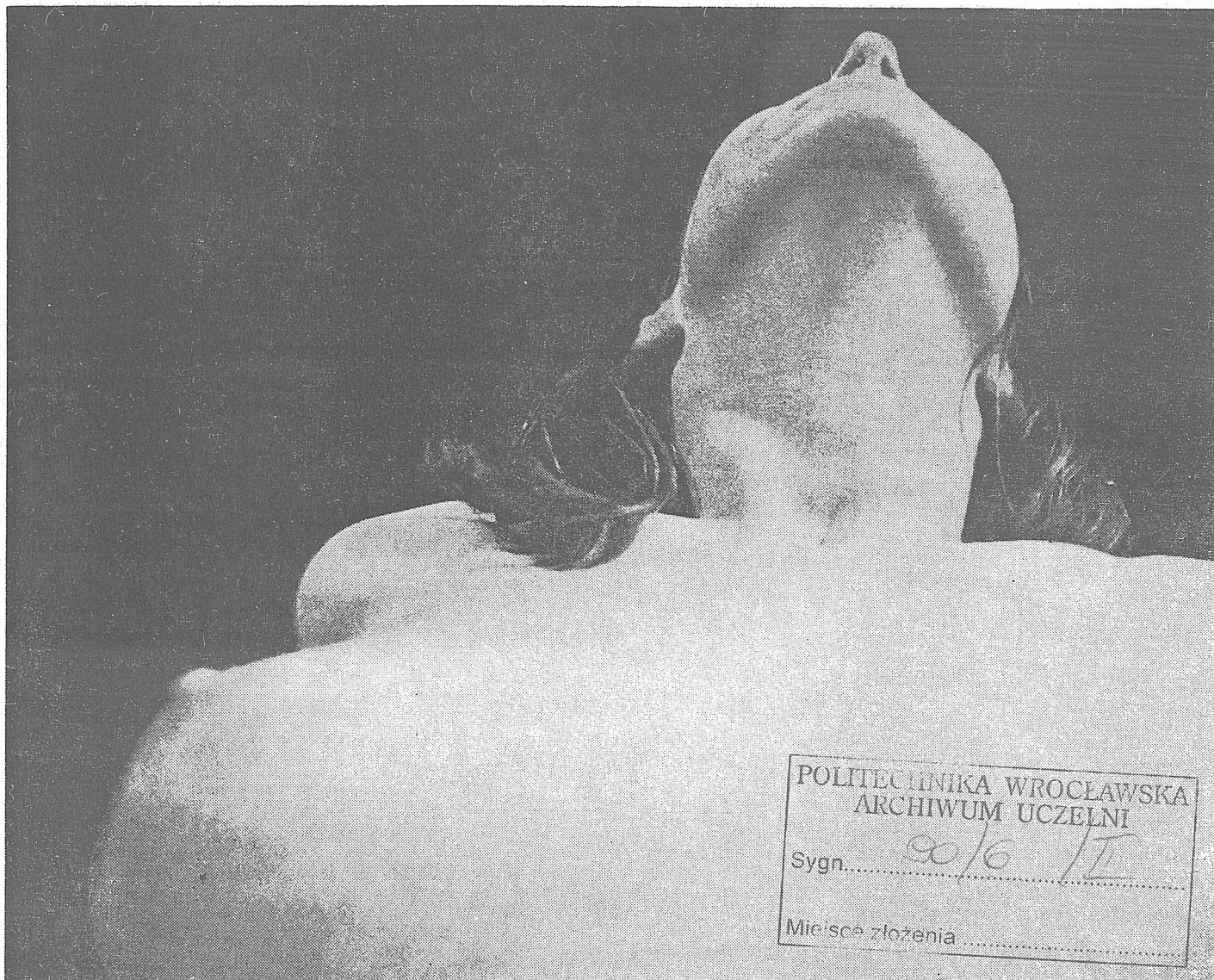
Pantomimy i gestu było w całym przedstawieniu dość dużo. Tu najwyraźniej odcisnęło się piętno reżysera. Ionesco stał się przez to bardziej plastyczny, każda scena to do końca namalowany obraz.

Gra w zabijanego to też sukces całego zespołu aktorskiego. Trudno wymienić nazwiska wszystkich, bo poziom jest raczej wyrównany. Zaskakuje może trochę interpretacja Przegrodzkiego, ciekawy jest też występ marnotrawnej córki Pantomimy — Ewy Kamas.

„Grę w Zabijanego” zaprezentowano studentom Politechniki w ramach Dni Wstępnych. Wybór okazał się znakomity. Dobrze byłoby jednak, gdyby ci, którzy nie mieli okazji w nich uczestniczyć, zawitali do Teatru Polskiego. Naprawdę warto!

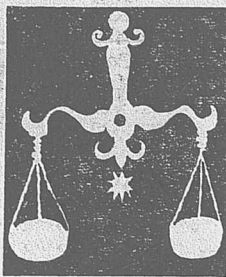
m.

Fot. J. SAMOTUS

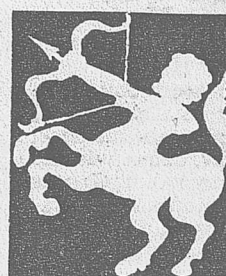


Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14 pok. 14/15, tel. 270-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P-9/S). Redaguje zespół w składzie: WANDA DRYLL (sekretarz redakcji), ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, MAŁGORZATA MICHAŁAK, JANUSZ M. PAWLIKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAW SZULC, TOMASZ WIELICKI, RYSZARD WOJTASZEK (z-ca red. naczelnego).

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBRZANIECKIEGO



Opracował: Jan Starża Dzierżbicki
Prezes Towarzystwa Astrologicznego



Kto urodził się

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

LISTOPADA 90/6/11
Sygn.....

Miejsce złożenia



Nie chowa on swego zdania w tajemnicy, ktokolwiek zaś się z nim zetknie — od razu może rozpoznać, czy należy do osób dlań sympatycznych, czy też antypatycznych.

Dla przyjaciół zawsze gotów do chętniej pomocy — lecz wrogowie

niechaj się strzegą jego gryzącego sarkazmu i gniewu, który potrafi być nieubłagany.

Potężne siły są ukryte w takim człowieku, a jego namietności są rozwinięte niezwykle. Spragniony dziwacznych przyjemności i niezwyklej rozkoszy — wytrwale ich poszukuje.

Dumny, chytry — posiada świetny dar orientacji. Małżeństwo wywiera nań wpływ silny i jest ważnym wydarzeniem w jego życiu. W miłości zdolnym jest do poświęceń.

Charakter kobiety urodzonej w tym dniu zależy w dużym stopniu od jej rozwoju umysłowego i moralnego.

Niedorozwinięta — nie chce poddać się ograniczeniom jakie jej narzuca płęć, a jej gwałtowność i skłonność do przesady daje się we znaki mężowi.

Za wszelką cenę pragnie ona przeprowadzić swą wolę, nie licząc się z otoczeniem. Nie waha się bynajmniej i nie zwleka... Gdy się zakocha — nie zwraca uwagi na konwenanse życiowe.

Ponieważ ludzie urodzeni dzisiaj posiadają dużą siłę woli i są zdecydowani zrobić karierę — nieraz im się to udaje.



LISTOPADA

Ma on w duszy niewyczerpane źródło idei i natchnień. Jego umysł ruchliwy, obejmujący szerokie horyzonty — zawsze jest przejęty jakąś nową ideą i literalnie przepelniony jest różnymi koncepcjami i obrazami psychicznymi. Łączy się z tym wiel-

ka intuicja i bystre pojmowanie.

Co mu grozi?

Musi zwalczać przeciwności rozmaitego rodzaju, a warunki życiowe zmuszają go do projektów zbyt pośpiesznych i poczynić hazardowych.

Impulsywny i niespokojny jego umysł jest niedostatecznie przewidujący i nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie dookoła otaczają go niebezpieczeństwa. Dzięki temu wpływ warunków życiowych może się na nim odbić niepomysłnie i zahamować jego ekspansję.

Niezwykła wrażliwość czyni go bardzo wybrednym w używaniu pokarmów, co nieraz przyczynia niepotrzebnego kłopotu w gospodarstwie domowym. A jednocześnie wykazuje zamiłowanie do potraw drażniących i ostrych, przypraw i korzeni i to nie licząc się wcale z późniejszymi skutkami — t.j. niestrawnością.

W niektórych natomiast wypadkach — gdy jego gorliwość została pobudzona nadmiernie — potrafi się obchodzić bez pokarmu i snu.



LISTOPADA

Bardzo pojętny niezwykle wrażliwy i subtelny — łatwo przejrzy na wylot wszelką intrygę i z tego powodu może być dobrym detektywem.

Indywidualność takiego człowieka podobna jest wewnętrznie do łucznika, który ma przed sobą cel od-

legły i nie traci go z oczu, wierząc święcie, że w końcu go osiągnie.

Ma on bowiem wysokie ideały, do których dąży z pilnością. Nie tylko sam rozwija się nieustannie i dąży naprzód, ale również chętnie pomaga innym w rozwoju. Skłonny do sportów wszelkiego rodzaju, jest sprawiedliwy i religijny.

Urodziny te najczęściej dają dwa małżeństwa. Podobnie jak wielorakie są zdolności takiego człowieka — zawód jego również bywa podwójnym. Stosunki towarzyskie okażą się w życiu bardzo pożyteczne, a osoby wyżej postawione udzieli mu swego poparcia.

Czeka go życie dość długie, a choroby, jakie mu grożą — przeważnie będą krótkotrwałe. Często zmienia miejsce pobytu — co nieraz ma związek z zawodem.



LISTOPADA

Jego usposobienie jest radosne i młodzieńcze nawet w starości. Zachowanie się jego jest w sposób naturalny uprzejme i tylko w obecności wrogów staje się szorstkie lub wyzywające.

Entuzjastyczny, pełen nadziei — jest nieco niespokojny, zarówno fizycznie jak i psychicznie. Nieraz realizuje od razu kilka projektów i zmienia swój zawód.

Ma skłonność do podróżowania, zmieniania miejsca zamieszkania, zarówno jak i do czynienia odkryć lub wynalazków.

Co mu grozi?

Ze będzie wykorzystany przez innych ludzi i na skutek tego nie osiągnie ani zbytniego uznania ani powodzenia.

Nie jest on bynajmniej pozbawiony próżności — owszem, bardzo jest przejęty samym sobą. Rozpraszając swą energię w pogoni za nierealnymi koncepcjami lub w zawodach dlań niekorzystnych, może być narażony na straty.

Wady.

Nierozwinięty — pragnie za wszelką cenę zachować swą wolność i uważa małżeństwo za ciężkie brzemie. Kobiety są nieostrożne i zbyt swobodne w obęściu z mężczyznami — co przejawia się zwłaszcza w życiu sportowym. Naśladować wówczas zachowanie się i sposób mówienia mężczyzny — lubując się w wyrażeniach drastycznych.

Zarówno mężczyzna jak i kobieta znajdując się na niższym stopniu rozwoju — mimo pewną szorstką serdeczność, jaką okazują — przejawiają dużo egoizmu i brak zastanowienia.